

MONIKA SŁAWIK

The book cover features a stylized illustration. In the background, there is a dense forest of tall, dark green evergreen trees. In the center, a large, solid orange shape represents a house. In the foreground, two figures are depicted in a close embrace, their forms rendered in a textured, dark blue or purple color. The overall style is painterly and evocative.

JESTEŚ
MOIM
DOMEM

beYA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Adrian Matuszkiewicz

Redakcja: Anna Adamczyk Warsztat Słów

Korekta: Dominika Dziarmaga

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: beya.pl

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

beya.pl/user/opinie/jemodo

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-1540-4

Copyright © Helion S.A. 2025

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność



1.

Dziecko potrzebuje ojca

Dziennik Zory, 26 sierpnia 2022 roku

Czasem mogłabym przysiąc, że sobie to wszystko wyobrażam; że te krzyki i płacz to tylko wymysł mojej głowy.

Dzisiaj jednak nie mam żadnych wątpliwości. Rozpaczy mamy, która wybrzmiewa głośno w całym domu tego wieczoru, nie umiałabym sobie wymyślić.

Nienawidzę go za to, co jej robi, do czego ją doprowadza.

Nienawidzę go prawie tak bardzo, jak nienawidzę siebie.

Bo to wszystko moja wina.

Zora

Krzyki taty są tak głośne, że słyszę je nawet na piętrze za zamkniętymi drzwiami pokoju. Jednak nie to sprawia, że rzucam swój dziennik w kąt i klękam na podłodze, przyciskając ucho do chłodnego drewna. To płacz i uniesiony ton mamy niepokoją mnie najbardziej. Podczas awantur mama zazwyczaj nie wypowiada wielu słów, aby nie podjudzać bardziej taty i po prostu przetrwać najgorsze. Dopiero gdy jego głos staje się ochrypły i uniemożliwia mu dalsze krzyki, a on sam zamyka się w swoim gabinecie za pomocą obu zamontowanych w drzwiach zamków, mama może w końcu czmychnąć do łazienki, skąd przez następną godzinę dobiega ciche łkanie. Kiedy z niej wychodzi, znowu ma perfekcyjny makijaż, a jej typowy uśmiech – który nie jest ani ciepły, ani zimny – z powrotem lekko wygina jej usta. I nie mija kolejna godzina, gdy cała nasza trójka siada do wspólnej kolacji.

Dzisiaj jednak wszystko rozgrywa się inaczej.

Alfie

Sprawdzam jeszcze raz, czy wszystko spakowałem, a potem zapinam torbę i walę pięściami w ścianę pokoju brata.

- Spóźnimy się, jeśli zaraz nie wyjedziemy.
- Już prawie! – woła Kevin, na co przewracam oczami.
- Nie chcę dostać przez ciebie kolejnego mandatu!

Odkrzykuje coś niewyraźnie, ale nawet się nie wysilam, żeby go zrozumieć. Po raz ostatni przeczesuję wzrokiem swój pokój, by ocenić, czy na pewno nic w nim nie zostawiłem, a wtedy dostrzegam ciemną czuprynę wystającą przez szparę w drzwiach.

– Na pewno nie możecie jeszcze zostać? – pyta Bruno marudnym tonem, którego używa nieustannie od kilku dni.

Uśmiecham się do niego i przywołuję go ręką, siadając na łóżku. Chłopiec z ustami wygiętymi w podkówkę podchodzi do mnie i wskazuje na moje kolana.

- Nie masz nas dość po dwóch miesiącach?
- Trochę mam – przyznaje, przekrzywiając lekko głowę, przez co zaczynam go łaskotać. – Żartowałem, żartowałem! – krzyczy, niemal dławiąc się ze śmiechu.
- Postaram się przyjechać niedługo, okej? – mówię, kiedy już się uspokaja, a on znowu robi nadąsaną minę.
- Zaraz zaczynam przedszkole. Nie będę miał czasu na zabawę.
- Unoszę brew i ledwo powstrzymuję się od parsknięcia śmiechem.
- No tak, przedszkole to poważna sprawa. – Klepię go po plecach.
- Ale poradzisz sobie, wiesz? Poznasz nowych kolegów i zapomnisz o swoich starszych braciach.

Wzdycha ciężko i już ma coś powiedzieć, ale w drzwiach pojawia się Kev.

– Możemy jechać – mówi, a później, dostrzegając naszego młodszego brata, dodaje: – O, cześć, mały.

Bruno ześlizguje się ze mnie i wbiega prosto w Kevina.

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżał – łka w jego bluzę.
- Nagram ci filmik z samolotu, okej?
- Na który zaraz nie zdążysz – wtrącam i wstaję, po czym zarzucam torbę na ramię. – Musimy ruszać.

Kiedy schodzimy na dół, ojciec i Meredith już czekają na nas przy wyjściu. W oczach kobiety dostrzegam łzy.

– Widzimy się w Święto Dziękczynienia – mówi tata i sięga do kieszeni marynarki, z której wyciąga dwie ozdobne koperty.

– Dan, nie... – protestujemy jednogłośnie, ale to na nic, ponieważ on i tak wpycha nam po jednej z nich.

– Dajcie spokój, to prawie nic. Przyda wam się trochę dodatkowej gotówki.

– Niczego nam nie brakuje – stwierdza Kevin, na co ja potakuję.

– Myślałem o znalezieniu jakiejś pracy, która... – wtrącam, ale tata marszczy brwi i wchodzi mi w słowo.

– Nie ma mowy, Alfie. Musisz skupić się na nauce i hokeju. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, to daj znać mnie albo mamie. Pracowaliśmy na wszystko, co teraz mamy, po to, by nasze dzieci nie musiały się martwić o pieniądze.

Chcę się kłócić, ale doskonale wiem, że to nie ma sensu. A teraz dodatkowo nie ma też na to czasu. Dlatego po prostu kiwam głową.

– Dzięki, Dan – mówię.

Gdy Kevin i ja wreszcie wsiadamy do samochodu, mój brat rzuca:

– Ile dostałeś?

Wyciągam kopertę, w której dostrzegam spory plik studolarówek. Mrugam kilka razy. Nawet jak na ojca, próbującego na wszelkie sposoby zrekompensować nam od rozwodu swoją nieobecność, ta suma jest szaleństwem.

– Dwa tysiące.

– Ja tyle samo. Do tego oddał mi jeszcze wcześniej za bilety.

Śmieje się i zapina pas, a ja, mimo że podświadomie już wydaję całą sumę na nowe rzeczy do auta, czuję... wstyd. W przeciwieństwie do starszego brata nie jest mi do końca dobrze z tym, że rodzice nadal w pełni mnie utrzymują. Zresztą Kevin przynajmniej wyjechał na studia do innego stanu i nie mieszka z mamą, podczas gdy ja całe życie spędziłem w jednym i tym samym pokoju, którego ściany z dziecięcego niebieskiego na neutralny biały przemaalowałem dopiero dwa lata temu. A mama nieraz robi mi kanapki na uczelnię.

Ledwo udaje nam się dotrzeć na lotnisko na czas i jestem pewny, że co najmniej dwa fotoradary uchwyciły, jak przekraczam dozwoloną prędkość.

Dodatkowa gotówka przyda mi się szybciej, niż myślałem.

Żegnam się szybko z Kevinem, a po powrocie do samochodu nie od razu odpalam silnik, bo w końcu, w totalnej ciszy, której tak dawno nie

doświadczalem, tęsknota dociera również do mnie. Kevin i ja przez całe lato przebywaliśmy w domu taty w Minneapolis, spędzając czas z Brunem, szlajając się wieczorami po mieście i niemal codziennie jedząc coś zamówionego, bo żaden z domowników nie potrafi gotować. To lato z pozoru nie różniło się od pozostałych, bo odkąd rodzice rozwiedli się niemal dziesięć lat temu, każdą przerwę w nauce spędzamy właśnie u ojca. Kiedy jednak Meredith, jego nowa partnerka, urodziła Bruna, za każdym razem jest nieco inaczej, bo ten dzieciak zmienia się z miesiąca na miesiąc.

Tego lata dowiedziałem się na przykład, że jego miłość do superbohaterów ustąpiła miejsca piłce nożnej. Mały odłożył wszystkie swoje figurki do pudła, które kazał przekazać potrzebującym, a od przyszłego tygodnia rozpoczyna treningi.

Uśmiecham się pod nosem, a chwilę później wzdycham. O ile z rozstaniem rodziców i nowym związkiem ojca pogodziłem się już dawno, o tyle ciągle żałuję, że nie mogę być przy swoim młodszym bracie. Chciałbym przeżywać z nim wszystkie ważne dla niego chwile, jak na przykład pierwszy dzień w przedszkolu albo pierwszy trening.

Ruszam z miejsca, obiecując sobie, że będę starał się odwiedzać go jak najczęściej. Nie będzie to łatwe, ponieważ przede mną drugi rok studiów. W dodatku rozpoczynający się lada moment sezon hokejowy sprawi, że mój harmonogram dopełnią treningi i mecze...

Krzywię się na samą myśl. Gdyby trener się dowiedział, że całe lato obżerałem się fast foodami, a codzienne treningi zredukowałem do biegania za pięciolatkiem i paru wyjść na basen, ukęciłby mi łeb.

Włączam w radiu jakąś pierwszą lepszą stację i pogrążam się w myślach. Nawet nie zauważam, kiedy zachodzi słońce – dociera to do mnie dopiero, gdy parkuję przed domem. Wchodzę do środka, pisząc jednocześnie do mamy, że już dojechałem, i rzucam torbę na podłogę. Wyciągam butelkę wody z lodówki, a kiedy widzę półki wypełnione po brzegi jedzeniem, natychmiast dopada mnie głód. Nie mam jednak siły na przyrządzanie czegokolwiek, więc postanawiam jeszcze ten ostatni raz zamówić coś na wynos. Jednakże od razu przypominam sobie, że nie jestem już w Minneapolis, a w oddalonym od niego o niecałe czterdzieści minut miasteczku Pine Lakes¹, gdzie oferują głównie jedzenie dla emerytów lub bogaczy w średnim wieku – idealnie dopasowane do siedemdziesięciu

¹ Miasteczko wymyślone przez autorkę na potrzeby powieści.

procent mieszkańców tej miejsciny – albo lokalne przysmaki dla turystów. Jedzenie z jedynej działającej tu pizzerii smakuje jak mrożonki z marketu. Burczenie w brzuchu sprawia, że mimo to składam zamówienie.

Po niecałej godzinie odbieram pizzę od dostawcy, który wygląda, jakby miał dość życia, nawet pomimo mojego sporego napiwku. Rozważam się przed telewizorem i otwieram pudełko. Biorę kęs i żuję go ostrożnie, a ostatecznie oceniam pizzę na mocne trzy na dziesięć.

Kończę jeść czwarty kawałek i pakuję resztki do lodówki. Następnie biorę torbę i ruszam na górę do swojego pokoju, by spędzić w nim resztę wieczoru.

Na pewno gdzieś odbywa się jakaś impreza, bo końcówka lata w Pine Lakes rządzi się swoimi prawami – wszyscy wracamy już z podróży lub od drugiego z rozwiedzionych rodziców, a pozostały wolny czas wypełniamy sobie domówkami i imprezami nad jednym z jezior. Zazwyczaj, aby posiedzieć trochę z kumplami, specjalnie wcześniej wracam od taty, jednak w tym roku postanowiłem zostać u niego niemal do samego końca wakacji i nie żałuję tej decyzji. Nawet teraz, wiedząc, że cała drużyna pewnie bawi się na imprezie, niezbyt mam ochotę gdziekolwiek wychodzić.

Gdyby usłyszeli to Cade i Zack, powiedzieliby mi, że się starzeję. Zresztą kiedy tylko piszę do obu swoich przyjaciół, że właśnie wróciłem, ale chcę zostać w domu i poczekać na mamę, dostaję solidny ochrzan. Cade dodatkowo nie rozumie, dlaczego nie mogę jej wziąć ze sobą na imprezę.

Ja: Możesz pomarzyć.

Ja: Nie, stop. Masz zdecydowanie nie marzyć o mojej mamie.

Cade: Za późno.

Rozpakowuję się szybko (to znaczy wyrzucam zawartość torby na fotel), włączam muzykę, a później wchodzę pod prysznic. Nie wiem, ile tak stoję i wykrzykuję słowa piosenki na cały głos, jednak po pewnym czasie słyszę jakiś hałas... a potem kolejny. Zakręcam wodę, a kiedy ustalę, że ktoś dobija się właśnie do drzwi, wycieram się i zarzucam na siebie pierwsze z brzegu ciuchy.

Gdy stukot staje się bardziej uporczywy, stwierdzam, że to muszą być Cade i Zack, którzy postanowili mnie siłą wyciągnąć z domu. Zbiegam na dół, podchodzę do drzwi i już zamierzam chwycić za klamkę,

ale coś mnie powstrzymuje. Zerkam przez wizjer i muszę mrugnąć kilka razy, by upewnić się, że nie mam zwidów.

Co, do cholery?

Po drugiej stronie stoi ciemnowłosa kobieta i jestem pewien, że ją znam, ale za nic nie mogę sobie przypomnieć, kim jest. Odskakuję od drzwi, ponieważ ona znowu mocno w nie wali.

– Dolly, otwórz, proszę! To ja, Patrisha! – wybrzmiewa krzyk i wtedy już wszystko sobie przypominam.

Otwieram drzwi, a na twarzy kobiety, która nieznacznie postarzała się przez kilka ostatnich lat, odmalowuje się zdziwienie. Nie wiem, czy mnie nie rozpoznaje, czy po prostu jest zaskoczona, że to nie moja mama jej otworzyła, ale po chwili potrząsa lekko głową i poprawia swoją kremową, dopasowaną marynarkę z jakimś dziwnym bordowym wzorem z przodu.

– Alfie – mówi łagodnym, lecz jednocześnie podszytym paniką głosem.

– Trish? Co ty...

– Potrzebuję twojej pomocy – mówi dalej, nie pozwalając mi dokończyć. – Zora... Ona potrzebuje pomocy.

Marszczę brwi. Na dźwięk tego imienia w mojej głowie pojawia się twarz piegowatej, rudej dziewczynki o takim samym głębokim czekoladowym kolorze oczu jak te Trish.

I dopiero w tej chwili zauważam, że na jej marynarce nie ma żadnego wzoru. Czerwony rozmazany kształt to krew.

Zora

Ból pulsuje w całym moim ciele, promieniując głównie z żeber, a mocno objijające się o nie serce jeszcze bardziej go potęguje. Przyglądam się wędrującym po szybie samochodu kropłom deszczu, które wydają się iskrzyć od świateł ulicy, i czuję, jak kolejna stróżka ciepłej cieczy spływa wzdłuż mojej skroni aż do brody, by następnie wsiąknąć w cienki materiał bluzki.

Lubię ją. Została uszyta z jedwabiu barwionego na mój ulubiony szafirowy kolor, a jej bufiaste rękawy oraz kołnierzyk zdobią hafty. Jest jedyna w swoim rodzaju i piękna... a raczej była, bo nie wyobrażam sobie, żeby z tak delikatnej tkaniny udało się pozbyć plam krwi.

– Zoro, co ty robisz? Uciskaj ranę!

Surowy ton głosu mamy idealnie zgrywa się z klaksonem, którego ktoś musiał użyć zaraz obok nas. Hałas, odbijający się echem w mojej głowie, niemal mnie ogłusza. Mam wrażenie, że przez to krew z rany nad moją brwią płynie jeszcze szybciej. Chcę unieść dłoń ze zwiniętym ręcznikiem, ale on nagle zdaje się ważyć tonę. A ja jestem tak zmęczona... Zamykam oczy. Tylko na chwilę. Zaraz...

– Nie waż się zasypiać! Słyszysz?! Zora!

Uchylam lekko powieki i widzę mamę. Spanikowanym wzrokiem wędruje ode mnie do ulicy i z powrotem. Wyzywa jakiegoś kierowcę, który zajechał jej drogę, i chyba znowu mnie woła, ale już nie udaje mi się na nią spojrzeć.

Mój sen jest lekki, nadal boleśnie czuję każdy zakręt i ciągle słyszę krzyki mamy. Jednak dopiero cisza sprawia, że całkiem się wybudzam, jakby to ona była trudniejsza do zniesienia. Próbuje się poruszyć, a z moich ust wyrывa się jęk.

– Zora, kochanie, otwórz oczy – powtarza mama tym samym błagalnym, spanikowanym tonem, ale moje powieki wciąż uporczywie nie chcą się rozkleić. – Zaraz ci pomożemy.

My? Czyli kto? – chcę zapytać, ale zamiast tego niemal bezgłośnie bełkoczę. Mamie jednak albo udało się coś z tego zrozumieć, albo domyśliła się, o co mi chodziło, bo dodaje:

– Przyjechałyśmy do Dolly. Ona nam pomoże. Pomoże nam...

Marszczę brwi, a przynajmniej wydaje mi się, że to robię. Dolly? Dlaczego przyjechałyśmy do niej? Nie widziałam jej tak długo...

Zrobiłabym wszystko, żeby coś powiedzieć, ale nie jestem w stanie. Czyjeś smukłe ramiona obejmują mnie i próbują postawić na nogi, a ból w żebrach nagle zostaje znacznie przytłumiony przez ten w udzie, który do tej pory był niemal nieodczuwalny.

– Kochanie, musisz mi trochę pomóc. Nie dam rady cię podnieść.

– Nie... mogę... się ruszyć – udaje mi się wymamrotać.

– Poczekaj tutaj, dobrze? Zaraz wracam.

– Nie... – próbuję protestować, ale w tej samej chwili słyszę oddalające się kroki mamy, a potem... nastaje cisza.

Zostałam całkiem sama. Po moich policzkach zaczynają cieknąć łzy. Po chwili słyszę huk, a następnie odgłos ciężkich kroków.

Wrócił. Znowu mnie dopadnie. Znowu...

– Kurwa, co jej się stało? – pyta ktoś męskim głosem, który na szczęście nie należy do *niego*. Wydaje mi się, że go rozpoznaję, ale nie potrafię przywołać w pamięci żadnego imienia ani twarzy.

– Ona... – zaczyna mama. – Spadła ze schodów.

Moje serce na chwilę przestaje bić.

– Dzwonię po karetkę – oznajmia chłopak.

– Nie! Nie potrzebuje szpitala. Jest tylko poobijana.

– Jest cała we krwi i nawet się nie rusza! – W jego głosie pobrzmiewa niedowierzanie i... panika.

– Po prostu pomóż mi zanieść ją do domu i zadzwoń do Dolly. – Następuje chwila ciszy, a potem mama dodaje jeszcze błagalnie: – Proszę, Alfie. Nie możemy jechać do szpitala.

Alfie? Skąd ja znam to imię?

Próbuję wyteńczyć umysł, ale to na nic. Znowu zapada cisza. A później ktoś po raz kolejny obejmuje moje ciało. Tym razem oplatające mnie ramiona są większe, twardsze. Pewniejsze.

– Trzymaj się, Zo – poleca ten znajomy głos. – To prawdopodobnie będzie boleć.

Boli. Chłopak wzmacnia uścisk i wyciąga mnie z przedniego siedzenia, po czym przyciska do siebie. Moja głowa bezwładnie opada na jego pierś, a pół sekundy później tracę kontakt z rzeczywistością.

Alfie

Patrzę na nieruchomą sylwetkę na kanapie w salonie, zastanawiając się, czy to wszystko nie jest czasem złym snem.

Mimo upływu czasu i jej oplakanego stanu od razu udało mi się rozpoznać Zo – dziewczynkę, która niegdyś, razem ze swoją mamą, spędzała u nas całe dni. Zdecydowanie jednak nie przypomina teraz siebie sprzed lat. Wtedy była taka wesoła, wiecznie roześmiana, zawsze ubrana w jakieś eleganckie sukienki, z długimi warkoczami po bokach i wstążkami... Teraz jej twarz i ciuchy są pokryte krwią, świeżą i tą lekko już zaschniętą. Na skroni ma kilkucentymetrowe rozcięcie, a jej dolna warga jest opuchnięta i ma niemal purpurowy kolor. Gdy niosąc ją do domu, dostrzegłem rozdarty materiał rajstop przy sporych rozmiarów ranie na jej udzie, zrobiło mi się słabo i niemal się potknąłem.

Najgorsze jest w tym wszystkim to, że Zo się nie rusza. Jej klatka piersiowa unosi się miarowo, więc wiem, że oddycha, ale oprócz tego leży nieruchomo na kanapie. Matka dziewczyny przemywa jej twarz wilgotnym ręcznikiem, który kazała sobie przed chwilą przynieść, a ja się temu przyglądam, opierając się o ścianę i ściskając telefon w dłoni. Mama już jedzie, więc zaraz sama oceni sytuację. Na pewno będzie wiedziała, co robić. Tylko co, jeśli będzie za późno?

– Widzisz? – mówi Trish pozbawionym emocji głosem. – Wystarczyło ją trochę przemycić i nie jest tak źle.

Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. Jasne, może bez rozmazanej po całej twarzy i szyi krwi dziewczyna wygląda mniej makabrycznie, ale co to zmienia? Ona się nie rusza!

– Trish, ty zwariowałaś – stwierdzam i przeczesuję włosy. – Przecież ona jest nieprzytomna. Daj mi jeden dobry powód, dla którego nie powinniśmy teraz pędzić z nią do szpitala.

– Zora tak czasem ma: wyłącza się i zastyga w kompletnym bezruchu. To nic nadzwyczajnego, wcale nie utraciła przytomności. – Wzrusza ramionami. – Oddycha, a ja mogę sama opatrzyć jej rany. Mógłbyś przynieść apteczkę z mojego samochodu? – Odszukuje w kieszeni spodni klucze i rzuca nimi w moją stronę. Ledwo udaje mi się je złapać. – Jest w bagażniku.

Klnę pod nosem, przez co kobieta karci mnie spojrzeniem. Zerkam znowu na Zo, by upewnić się, że jej klatka piersiowa nadal się unosi. Dopiero wtedy wychodzę.

Jakim cudem ten wieczór obrał taki kierunek? Dlaczego Trish zachowuje się, jakby postradała zmysły? Zapamiętałem ją raczej jako zrównoważoną.

Przechodzę przez podjazd i otwieram bagażnik wypolerowanego na błysk mercedesa. W nim od razu dostrzegam dwie sporych rozmiarów, zamknięte byle jak, skórzane torby podróżne oraz przezroczysty plastikowy pojemnik z różnymi rzeczami. Moją uwagę przykuwają dwa paszporty. Marszczę brwi, ale postanawiam na razie o tym nie myśleć. Odszukuję apteczkę i zamykam samochód, a wtedy mama parkuje na podjeździe swój żółty kabriolet.

Kiedy słyszę jej głos, zalewa mnie ulga. Wysiada i przytula mnie ostrożnie, bo na sobie wciąż ma fartuch ubrudzony kolorowymi lukrami.

– Gdzie one są?

– W salonie – odpowiadam i unoszę czerwone pudełko. – Trish wysłała mnie po apteczkę, ale myślę, że to nie wystarczy.

Zanim rusza w kierunku wejścia, zaciska usta w wąską kreskę i przymyka na chwilę powieki. Kręci głową, jakby była rozzarowana i wściekła zarazem, ale kryje się w tym coś jeszcze... Coś, co podpowiada mi, że cała ta sytuacja nie jest dla niej jakimś wielkim zaskoczeniem... Mam wrażenie, jakby po części spodziewała się, że to się wydarzy. A to już kompletnie zbija mnie z tropu – na tyle, że postanawiam przestać snuć domysły na temat tego, co się dzieje, z nadzieją, że wszystko zaraz samo się wyjaśni.

Trish jest, albo raczej była, najlepszą przyjaciółką mojej mamy. Odkąd pamiętam, niemal każdego dnia przesiadywała w naszym domu i niemal za każdym razem zabierała ze sobą Zo – przynajmniej póki ta była jeszcze dzieckiem.

W wieku przedszkolnym byliśmy nierozłączni. Bawiliśmy się w piasku, kąpaliśmy w jeziorze, graliśmy na moim PlayStation... Wszystko robiliśmy razem. Kiedy jednak zacząłem drugą czy trzecią klasę, Zo stała się nagle rozkrzyczanym, irytującym dzieciakiem, który laził za mną i moimi kumplami, podczas gdy ja ze swoimi trzema latami przewagi czułem się jak dorosły.

Pamiętam, że razem z Cade'em zaczęliśmy stroić sobie z niej żarty, a mój przyjaciel miał dla niej nawet pewne przezwisko, którego teraz za nic nie mogę sobie przypomnieć. Ja za to wołałem na nią „Zo” i nie wiedzieć czemu, to wkurzało ją najbardziej. W końcu zaczęła rzadziej do nas przychodzić, a gdy już to robiła, nie odzywaliśmy się do siebie.

Wszystko skończyło się w sierpniu, cztery lata temu. Jak zawsze spędzałem wtedy wakacje u ojca i z jakiegoś niewiadomego mi powodu Trish i Zo mieszkaly w tym czasie z moją mamą. Nie do końca to rozumiałem, bo przecież ich dom znajdował się niedaleko, ale w to nie wnikałem. Kiedy wróciłem od taty, mama i Trish były tak bardzo pogrążone w kłótni, że nawet nie zauważyły, że stoję w drzwiach. Do dziś jednak nie wiem, o co chodziło, a jedyne słowa, jakie udało mi się wyłapać i zapamiętać, to: „Dziecko potrzebuje ojca”, wypowiedziane przez mamę Zo, po których ta opuściła nasz dom, ciągnąc córkę za sobą.

Kilka razy próbowałem wyciągnąć od mamy powód całego zamieszania, ale ona zawsze powtarzała, że to sprawa między nimi. Żyliśmy dalej, aż wreszcie... zapomniałem o istnieniu tej kobiety oraz Zo.

Mama wpada do salonu, a ja zaraz za nią. Mój wzrok od razu wędruje do kanapy i dostrzegam, jak Trish próbuje unieść Zo. Twarz dziewczyny wykrzywia się w bólu, a z jej opuchniętych warg wydobywają się jęki.

– Co ty, do cholery, robisz?! – rzucam i do nich podbiegam. Jednym ramieniem obejmuję najdelikatniej, jak tylko mogę, plecy Zo, a drugim odsuwam od niej Trish. Kładę dziewczynę ostrożnie z powrotem na poduszkach. Zauważam, że łzy spływają po jej policzkach, przez co podnoszę się i patrzę na jej matkę. – Mam tego dość. Dzwonię po karetkę – oznajmiam i wyciągam telefon. Wybieram numer ratunkowy i już mam naciśnąć zieloną słuchawkę, gdy ktoś wyrывa mi komórkę z ręki.

– Ona potrzebuje pomocy, pozwól mu to zrobić! – woła gdzieś zza moich pleców mama, a ja unoszę wzrok na Trish.

Kobieta trzyma urządzenie wysoko w trzęsącej się dłoni, jakbym wcale nie przewyższał jej o dwie głowy.

– Oddaj mi go – cedzę przez zaciśnięte zęby.

– Zora nie potrzebuje szpitala – upiera się, a jej spojrzenie z każdym słowem staje się coraz bardziej puste. – Nie może jechać do szpitala. Nie może. Wszystko zwali na mnie... Nikt nie może wiedzieć, nie pozwolę na to.

Okej, już mam pewność. Trish w ciągu tych czterech lat totalnie odbiło. A może od zawsze była szalona, a ja tego nie zauważałem?

Patrzę bezradnie na mamę, która klęczy teraz przy Zorze i odgarnia jej włosy z twarzy. Są ciemniejsze niż wtedy, gdy była dzieckiem. Nawet nie umiem określić, czy to wciąż rudy, czy brązowy, czy może nawet ciemny blond.

Potrząsam głową, jakbym w ten sposób mógł wyrzucić z niej niepotrzebne myśli.

– Ktoś musi ją zbadać – naciskam.

– Mój znajomy jest lekarzem – odzywa się mama. – Będzie w stanie pomóc... po cichu. Ale jeśli stwierdzi, że potrzebuje większej pomocy, to sama zawiozę Zorę do szpitala.

Unoszę brew i patrzę na nią z nadzieją, że się przesłyszałem.

– Po cichu? – powtarzam, lecz zostaję zignorowany.

– Możecie się u nas zatrzymać tak długo, jak tylko będziecie potrzebować – kontynuuje mama. – Ale jeśli kolejny raz do niego wrócisz, więcej tego nie zaproponuję.

Co do...

– Dolly, nie trzeba. – Trish od razu protestuje. – Polecimy do Londynu.

Mama nie zamierza ustąpić, ale po jej minie widzę, że kończy się jej cierpliwość.

– Zostaniecie z nami dla dobra Zory. Jeśli teraz wyniesiecie się do innego kraju, będzie musiała zmienić szkołę. To zły pomysł, bo przecież zaraz zaczyna ostatni rok liceum. Nie wspominając już o twojej matce, która nie przyjmie was z otwartymi ramionami.

Trish patrzy to na nią, to na mnie i kiwa głową.

– Dziękuję – mówi cicho.

Mama znowu przenosi wzrok na Zorę i podwija rękawy do łokci.

– Przyniosę więcej ręczników i wezwę doktora Harrisona. Alfie, przynieś miskę z wodą i jakieś ubrania z mojej garderoby. Coś luźnego.

Czuając się jak w jakimś transie, ruszam do kuchni, gdzie odnajduję największą miskę, jaką mamy, i wypełniam ją wodą. Następnie odstawiam ją na stolik przy kanapie. W tym samym czasie mama wraca z ręcznikami.

– Tak mi przykro, kochanie – lamentuje Trish i zaczyna znowu prze-mywać rany córki. – Tak bardzo mi przykro. Nie sądziłam, że byłby zdolny do czegoś takiego, nie wobec ciebie...

Otwieram szeroko oczy. Patrzę na mamę, ale na jej twarzy nie widzę żadnych oznak szoku, przez co dodaję dwa do dwóch.

Zo nie spadła ze schodów. Ktoś skrzywdził ją celowo. Zaciskam mocno pięści, aż moje ramiona zaczynają drżeć.

– Alfie. Ubranie – przypomina mama.

Rozprostowuję powoli odrętwiałe palce i ruszam z ociąganiem na górę. Po drodze spoglądam jeszcze na Zo, jej rany widzę teraz jakby na nowo, z innej perspektywy. Moja wyobraźnia podsyła mi obrazy tego, jak każdy siniak, każda rana i każde zadrapanie musiały powstać. Jedyne, czego brakuje przed moimi oczami, to twarz tego, kto jej to zrobił.



Pół godziny później doktor Harrison, który – jeśli dobrze kojarzę – jest jednym z byłych chłopaków mamy, wchodzi do naszego salonu. Ma na sobie jasną, nieco wymiętą koszulę z poluzowanym krawatem, a w dłoni trzyma skórzaną torbę. Od razu dostrzega Zo i wymienia ściszoną głosem parę słów z mamą. Nie zwlekając ani chwili, za co jestem mu cholernie wdzięczny, podwija rękawy koszuli, a następnie przysiadła na krańcu kanapy. Wyciąga z torby rękawiczki, zakłada je i zaczyna uważnie

badać Zo. Odgarnia jej przyklejone do skroni włosy, aby przyjrzeć się rozcięciu, odpowiedzialnemu za krew na boku jej twarzy, po czym przenosi dłonie na brzuch i lekko go uciska – powolnymi ruchami kieruje się w górę, aż do żeber. Przez kilka minut mężczyzna kontynuuje badanie w ciszy, a potem, z pomocą mamy, opatruje dziewczynie rany. Wreszcie ściąga rękawiczki i wsuwa je do torby, a następnie wstaje.

– Kim ona jest? I kto to zrobił? – pyta rzeczowym tonem.

Trish, która przez cały ten czas stała pod ścianą, podchodzi do niego i obejmując się ramionami, mówi:

– To moja córka. Spadła ze schodów.

Mężczyzna unosi wysoko brwi, a wzrok, jakim sekundę później mierzy Trish, sprawia, że nawet mnie przeszywa chłód. Gdybym był na jej miejscu, zamieniłbym się w bryłę lodu.

– Jeśli nie otrzymam prawdziwej odpowiedzi, sam zawiozę ją na ostry dyżur i dopilnuję, aby zrobiono dokładną obdukcję, a następnie powiadomię policję – mówi. – Jej rany nie mogły powstać od takiego upadku. Dziewczyna została pobita i prawdopodobnie pchnięta na coś twardego i ostrego.

Trish zasłania usta dłonią, jakby ta wiadomość była dla niej zaskoczeniem. Patrzy bezradnie na moją mamę, a z jej oczu zaczynają płynąć łzy. Zapada dłużąca się cisza. Widzę, jak mama walczy z własnymi myślami, aż w końcu podchodzi do Trish i szepcze:

– Musisz przestać go kryć. – Odwracając się z powrotem do mężczyzny, dodaje: – Dziewczyna została pobita przez ojca.

Nieruchomieję. Wiem, że moja podświadomość już jakiś czas temu zdążyła poskładać to w całość, ale coś, nawet teraz, nie pozwala mi w to uwierzyć. W tle słyszę, jak Trish próbuje wszystkiemu zaprzeczyć, lecz kompletnie się wyłamczam.

Zo została pobita przez własnego... ojca. Przenoszę na nią wzrok i zastanawiam się, czy kiedykolwiek w ogóle widziałem jej tatę. Szybko zdaję sobie sprawę z tego, że przez tyle lat przyjaźni Trish i mojej matki nic o nim nie słyszałem. Nagle kolejne elementy układanki wskakują na miejsce i już wiem, dlaczego spędziły z nami tamto lato. Cokolwiek działo się w ich domu, musiało trwać już wtedy... a zapewne trwało jeszcze wcześniej. O to chodziło mamie, gdy mówiła, że nie da Trish kolejnej szansy. Dlatego nie była całą tą sytuacją zbyt zaskoczona.

Cztery lata temu Zo i Trish uciekły z domu. Zamieszkały u nas, a potem wróciły tam tylko po to, aby stało się... to.

Zerkam na Zo, która teraz wydaje się jeszcze bardziej bezbronna niż wtedy, gdy była małą dziewczynką. Mimo jej spokojnego oddechu przeczuwam, że nie śpi i że... cierpi. Jestem ciekaw, czy słyszy kłótnię, jaka właśnie trwa między mamą, lekarzem i Trish. Jeśli tak, to nie daje tego po sobie poznać.

– Wiem, że jestem ci winien przysługę, Dolly, ale to... To wykracza poza zdrowy rozsądek – mówi mężczyzna. – Zgodzę się nikogo nie powiadamiać tylko dlatego, że cię znam i wiem, że nie pozwoliś, żeby to się powtórzyło.

– Dziękuję, John. Naprawdę to doceniam.

Mężczyzna kiwa głową bez przekonania.

– Dziewczyna nie ma żadnego złamania, rana na głowie nie wydaje się groźna. Oczywiście nie będę miał stuprocentowej pewności bez prześwietlenia, ale nie wykonam go bez zabrania jej do szpitala. Jedyne, co mogę zrobić w takich warunkach, to podać jej środki przeciwbólowe. Za parę dni przyjadę na kontrolę.

Mama coś mu odpowiada, podczas gdy Trish znowu stoi przy ścianie, jakby chciała w nią wsiąknąć. Mężczyzna szybkim ruchem bierze Zo na ręce i zanoszi ją do wolnej sypialni – pokoju, który kiedyś zajmował Kevin, połączonego wspólną łazienką z moim. Następnie zostawia kartkę z zaleceniami oraz receptę i wychodzi.

– Powinniśmy zawiadomić policję – mówię, kiedy stoimy przy jej łóżku. Nie rozpoznaję własnego głosu. – Naprawdę nie rozumiem, dlaczego nikt jeszcze tego nie zrobił.

– Zostawiłam go – odzywa się Trish. – Zostawiłam go, Dolly, tym razem ostatecznie. Spakowałam nas i jestem gotowa wynieść się z tego miasta. Ostatnie, czego nam teraz potrzeba, to policja i dochodzenie na karku. To i tak nic nie da, bo on ze wszystkiego się wywinie. Znasz go, znasz jego wpływy.

Kim, do diabła, jest ten facet?

– Cztery lata temu wróciłaś do niego po tym, jak sprzedał ci kilka historyjek na temat tego, że się zmienił. Powiedziałam ci wtedy, że kiedyś dostrzeżesz, kim naprawdę jest, i że będzie za późno. Gdybym wiedziała, że Zora padnie jego ofiarą, nigdy nie pozwoliłabym ci odejść, nie z nią. – Milknie na chwilę i wzdycha. – Ostatni raz, rozumiesz? Ostatni

raz ci pomagam. Jeśli znowu do niego wrócisz, nie otworzę już dla ciebie drzwi. I nawet nie myśl, że pozwolę ci zabrać Zorę z powrotem do niego.

Kiedy wybrzmiewają ostatnie słowa mojej mamy, na twarzy Trish pojawia się przerażenie. Dopiero po kilku sekundach milczenia, z wciąż szeroko otwartymi oczami, przytakuje.



2.

Dwunastoletnia Zora

Dziennik Zory, 30 sierpnia 2022 roku

Jakimś cudem zaplątałeś się gdzieś między moimi podręcznikami. Gdyby nie to, mama nie spakowałaby cię razem z garstką pozostałych rzeczy. Tak się cieszę, że cię mam! Od ostatniego wpisu dużo się działo, ale nie chcę o tym w ogóle dziś pisać.

Mieszkamy teraz u Dolly! Tęskniłam za nią. Nie wiem, na jak długo się tu zatrzymamy, ale wczoraj Dolly wstawiła do zajmowanego przeze mnie pokoju biurko, mówiąc, że przyda mi się do nauki. Chyba więc na trochę tu zagościmy. Nie przeszkadza mi to.

~~Nie chcę wracać do domu. Nie chcę wracać do niego.~~

Zora

Nigdy nie widziałam mamy tak zdenerwowanej. Zaciska swoje pomalowane paznokcie na ramionach tak mocno, że mogłabym przysiąc, że zrobiły małe dziurki w materiale jej marynarki. Doktor Harrison naprawdę zaszedł jej za skórę.

– Na pewno nie potrzebujesz mocniejszych leków przeciwbólowych? – pyta mężczyzna, kiedy kończy zakładać nowe opatrunki.

Patrzę uparcie przed siebie, byle tylko nie spojrzeć w dół, bo chwilę temu popełniłam ten błąd i niemal zwymiotowałam.

– Wiem, jak to jest mieć tak mocno obite żebra. Zgaduję, że ledwo możesz spać. Mogą też pojawić się jakieś duszności...

Już otwieram usta, żeby mu odpowiedzieć, ale ubiega mnie mama.

– Nie ma co faszerować jej lekami, i tak niewiele pomagają. Przejdzie naturalnie.

Mężczyzna przymyka powieki i bierze głęboki oddech, a ja posyłam mu przepraszający uśmiech.

– Jeśli coś się zmieni, daj mi znać. Masz mój numer telefonu, tak? Potakuję, a on wstaje.

– Dobrze. Zostawiam ci instrukcje, jak dbać o rany, a także maść na blizny. Za parę dni wrócę, by zdjąć szwy.

Kładzie wszystko na szafce obok łóżka.

– Dziękuję, doktorze. – Mój głos jest ochrypły od długiego milczenia. Przez całą wizytę mama wyręczała mnie w mówieniu.

– Nie ma za co. – Uśmiecha się, a potem zerka przez ramię. Ściszo-nym głosem dodaje jeszcze: – Gdybyś potrzebowała pomocy psycholo-gicznej, to mogę coś zorganizować, nawet z dojazdem do domu.

Przełykam ślinę. Nie wiem, co odpowiedzieć. Kątem oka widzę przestępującą z nogi na nogę mamę, więc tylko kiwam lekko głową. Mężczyzna wzdycha krótko i wychodzi.

– Odprowadzę doktora i będę się zbierać do pracy. Poradzisz sobie sama?

– Jasne.

Mama się uśmiecha.

– Cieszę się, że już ci przechodzi. Do zobaczenia wieczorem.

Znika za drzwiami, a ja przygryzam wargę.

„Cieszę się, że już ci przechodzi” – zupełnie jakbym zachorowała. Powoli zsuwam się niżej i kładę się płasko na łóżku. Dziś mama wraca do pracy po tym, jak ostatnich kilka dni spędziła przy moim łóżku, a nagle samotność jest... kojąca.

Mama ma swój sposób na zajmowanie się mną. Zagaduje mnie błahymi sprawami, pokazuje różne filmiki znalezione w internecie, które wcale nie są aż tak śmieszne, jak myśli, i robi wszystko, by nie zbliżyć się do tematu ostatnich wydarzeń. Doceniam to, wiem, że chce dla mnie dobrze, i staram się ciągle o tym pamiętać, jednak nie mogę znieść tego, że ona... zachowuje się tak jak zawsze. Jakby nic się nie stało. Równie dobrze mogłabym leżeć tu poobijana, bo przewróciłam się, jadąc na rowerze, a nie przez to, że...

Zaciskam dłonie na pościeli. Próbuję zebrać myśli, ale to ani trochę mi nie wychodzi. W końcu sięgam po notatnik i zaczynam zapisywać w nim niektóre z nich.

O ile powinnam już być do tego przyzwyczajona, o tyle świadomość, że to, co wydarzyło się piątkowego wieczoru, zostanie zamiecione pod dywan, sprawia mi ból niewiele mniejszy od tego fizycznego. Tym razem chodzi przecież... o mnie.

Od razu ganię się za tę myśl. Wiem przecież, jak trudne to było również dla mamy i jak wielki krok zrobiła, odchodząc. Wiem, że to, co przytrafiło mi się tych kilka nocy temu, to nic w porównaniu z tym, co ona musiała znosić przez tyle lat, i to z mojej winy.

Problem tkwi jednak w tym, że jej technika zdaje się działać. Patrząc dzisiaj rano na posiniaczone żebra i dwie rany zszyte szarą nicią, mogłam sobie niemal wyobrazić, jak te obrażenia powstają od upadku z tego wymyślanego roweru. Przez chwilę mnie samej trudno było uwierzyć, że prawda jest zupełnie inna. Mogłabym udawać i wiem, że tego pewnie pragnie oraz oczekuje mama, ale ja... nie chcę tego, nie tym razem. Muszę pamiętać. Mama również musi pamiętać.

Powinnyśmy też zastanowić się nad tym, jak teraz będzie wyglądało nasze życie. Nie możemy za długo mieszkać u Dolly. Będziemy musiały znaleźć coś swojego, a niewielka wypłata mamy za pracę w lokalnym teatrze nie pozwoli nam na wiele. Pozostaje też kwestia tego, że póki pozostaniemy w tym mieście, tak naprawdę nigdy się *go* nie pozbędziemy. Będzie blisko, zbyt blisko.

Może wyprowadzimy się do Minneapolis? Znajdę pracę dorywczą, aby było nas stać na czynsz... Ale to pewnie i tak nie wystarczy na wynajem. Zapewne będziemy musiały wybrać któreś z małych miasteczek w dobrej odległości od szkoły... Cholera, szkoła! Moje liceum to jedna z najlepszych prywatnych placówek w tym stanie i cena za naukę tam jest wysoka. Będę musiała przenieść się do szkoły publicznej... Jednak to nie będzie zbyt duży problem, zwłaszcza że najważniejsze egzaminy mam już za sobą. Tylko czy spodoba się to rekruterom w Yale? Nagła zmiana na ostatnim roku na pewno nie obędzie się bez dodatkowych pytań lub wątpliwości...

Zresztą o czym ja mówię? Mogę pożegnać się ze studiami. Wiem, że rodzice mieli przeznaczony budżet na moją edukację, ale nieraz przy różnych awanturach ojciec dawał mi jasno do zrozumienia, że tylko on wpłaca na ten poczet pieniądze, a to oznacza, że nie będziemy mieć do nich dostępu.

Zaczynam skubać zębami wargę, naruszając ledwo co zabliźnioną ranę. Sięgam po chusteczkę i wycieram odrobinę krwi, a później wypuszczam sfrustrowana powietrze.

A co z rozwodem? Nie ma mowy, że mama od razu się za to zabierze. Pewnie w ogóle nie przeszło jej to przez myśl. Czasem wydaje mi się, że mimo złożonych obietnic naszą obecną sytuację traktuje jako przejściową – jakbyśmy kiedyś miały wrócić do domu. Nawet wczoraj podczas rozmowy, która zeszła na temat zbliżającej się jesieni, zaczęła wymieniać listę prac, które trzeba będzie wykonać przed zimą w naszym ogrodzie, tak jakby brała pod uwagę, że do tego czasu znowu tam będziemy.

Może to przyzwyczajenie albo kolejny sposób na wyparcie rzeczywistości, ale te słowa w jej ustach sprawiły, że zaczęłam się zastanawiać nad tym, jak mama widzi naszą przyszłość. Chciałabym móc z nią o tym porozmawiać, ale ani nie mam odwagi, by poruszyć ten temat, ani nie sądzę, że powiedziała by mi cokolwiek, co miałoby znaczenie. Pewnie zbyłaby mnie albo, co gorsza, zraniłabym ją poruszeniem tej kwestii tak wcześnie.

Dam jej jeszcze chwilę, by odzyskała grunt pod stopami. Jednak gdy nadejdzie właściwy moment, będziemy musiały wszystko przedyskutować i ustalić, co dalej.

Odkładałam notes, nie czytając, co mój pogrążony w myślach umysł postanowił w nim zapisać, i podsuwam kołdrę pod samą szyję, a później ostrożnie obracam się na bok. Ten prosty ruch kosztuje mnie tyle wysiłku, że niemal tracę oddech. Zamykam oczy i próbuję rozluźnić napięte ciało. Prawie zasypiam, ale wibracja telefonu przywraca mnie do rzeczywistości. Sięgam po niego i otwieram nową wiadomość.

Dolly: Cześć, kochanie, jak po wizycie doktora Harrisona?

Wszystko poszło bez problemu? Koniecznie daj mi znać. Ślę buziaki.

Wymieniam z nią kilka SMS-ów, łapiąc się na tym, że mimowolnie się uśmiecham. Dolly jest zupełnym przeciwieństwem mojej mamy: ona nie pozwala mi zapomnieć. Ciągłe pyta, jak się czuję, czy coś mnie boli, czy wezwać znowu lekarza, czy potrzebuję porozmawiać. Zadaje mi te wszystkie niewygodne pytania z prędkością karabinu maszynowego i mimo że zazwyczaj zbywam je krótkimi odpowiedziami, lubię, gdy to robi. Kiedy w sobotę rano obudziłam się cała obolała i w opatrunkach, Dolly siedziała przy moim łóżku, trzymając moją dłoń, a zmarszczka między jej brwiami zdradzała szczere zmartwienie. Powiedziała mi wtedy

coś, co pragnę usłyszeć właśnie od mamy – że nigdy nie pozwoli mi wrócić do tamtego domu.

Dodała też, że od tej pory jej dom jest moim.

Nie odpowiedziałam jej, ale kiedy tylko zostałam sama, z moich oczu popłynęły łzy. Te słowa sprawiły, że pomimo tego, co się wydarzyło... Mimo że człowiek, który mi to zrobił, znajduje się kilkanaście minut jazdy stąd, jakimś cudem poczułam się bezpiecznie. Tak samo jak wtedy, gdy byłam dzieckiem i mama okrywała mnie kołdrą tak szczelnie, że ponad nią nie wystawało nic oprócz głowy. Taką metaforyczną kołdrą jest dla mnie tymczasowo dom Dolly.

Zrywam się, kiedy do moich uszu dociera dźwięk z łazienki i niemal od razu zwijam się z bólu, który od tego nagłego ruchu wybucha w moich żebrach. Chwilę później słyszę szum wody. No tak – to, że nie ma mamy ani Dolly, nie oznacza, że jestem w domu całkiem sama. Dopiero zaczynam przyzwyczajać się do odgłosów tego miejsca, ale te dochodzące zza drzwi po mojej lewej znam już na pamięć. Dźwięk lejącej się wody podpowiada mi, że Alfie bierze właśnie prysznic.

Alfie Cooper, mój przyjaciel (a może wróg?) z dzieciństwa, bierze prysznic za ścianą mojego pokoju.

No nie do końca mojego, bo Dolly – mimo że powiedziałam jej, że mogę dzielić sypialnię z mamą, tak jak cztery lata temu – pozwoliła mi zająć wolny pokój. Kiedyś należał on do Kevina, jej starszego syna, który wyprowadził się na studia do innego stanu. Kojarzę go z dzieciństwa, ale trochę jak przez mgłę, bo nigdy nie dołączał do naszych zabaw, a gdy Alfie i ja biegaliśmy po ogródku, urządzając błotne bitwy, on z zażenowaniem zerkał na nas zza okna.

Nie wiem, jak wcześniej wyglądało to pomieszczenie, ale teraz nie przypomina pokoju młodego chłopaka. Dolly musiała go zmienić – teraz, utrzymany w neutralnych kolorach, pełni funkcję sypialni dla gości, a na wyposażenie składają się: łóżko, komoda, szafa, szafki nocne, dostawione specjalnie dla mnie biurko oraz kilka obrazów przedstawiających letnie pejzaże. No i dodatkowe drzwi, prowadzące do łazienki, którą dzielę z Alfiem.

Chłopakiem, z którym kiedyś spędzałam całe dnie i który potem stał się moim największym wrogiem. To on ciągnął mnie za włosy i wymyślał mi przeróżne przezwiska, a ostatecznie... całkiem zapomniał o moim istnieniu.

A ja przez cały ten czas byłam w nim zabujana po uszy.

Krzywię się na te wspomnienia i w dzienniku dopisuję:

Dwunastoletnia Zora uganiała się za chłopcem, który jej nie szanował.

Siedemnastoletnia Zora nie pościwiła więcej uwagi chłopakowi, który złamał jej serce.

Wstaję ostrożnie i podchodzę do komody. Zabieram z niej kilka podręczników, a później wracam z nimi do łóżka. Do rozpoczęcia ostatniego semestru został tydzień, więc odrzucając myśl, że nie wiem nawet, czy będę mogła kontynuować naukę w starej szkole, postanawiam podążać za własną tradycją i przerobić kilka pierwszych działów z każdego przedmiotu. Robię tak każdego lata, by zacząć rok z małą przewagą. Otwieram podręcznik do matematyki tam, gdzie skończyłam ostatnio, i wyrywam czystą kartkę z notatnika. Następnie od nowa biorę się za działanie, które sprawiło mi trochę kłopotu. Zanim jednak docieram do problematycznego punktu, moja uwaga koncentruje się na czymś innym.

Do szumu wody w łazience dochodzi nagle ciche nucenie Alfiego. Nie rozpoznaję melodii, dopóki nie zakręca kurka i nie podchodzi do umywalki, znajdującej się bliżej moich drzwi. Udaje mi się wychwycić kilka pojedynczych słów, które okazują się... bujną wiązaną przekleństw. Po chwili rozpoznaję popularną hip-hopową piosenkę i jęczę pod nosem.

Co ja w ogóle w nim widziałam? Alfie był i jest kompletnym... łobuzem. To on wpakował nas w kłopoty, gdy wymyślił, że świetnym pomysłem będzie zostawianie sąsiadom chwastów na wycieraczkach, a następnie pukanie do drzwi i uciekanie. To on ledwo przeszedł piątą klasę, bo prawie oblał matkę. Matkę, która od zawsze była moim ulubionym przedmiotem! To on pewnego dnia przykleił gumę do żucia do moich włosów, które mama musiała mi obciąć do ramion. Wtedy też zaczęły się puszyć, przez co wyglądałam jak pudel.

To przez niego mam na kolanie kilkucentymetrową bliznę, bo pewnego letniego dnia wymyślił, że super byłoby wspiąć się na najwyższą skałę nad jeziorem przy domu jego kolegi, mimo że dookoła było wiele ostrzeżeń, że kamienie są śliskie. Ach, no i właśnie – jego kolega. Cole, Caleb, czy jak mu tam było... Ten dopiero działał mi na nerwy. Do dziś jestem niemal pewna, że to on zainicjował tę całą serię „uprzykrzania życia Zorze”. Gdy wpadłam wtedy do wody, haratając wcześniej kolano o ostry brzeg skały, ci dwaj stali na jej szczycie i śmiali się tak głośno, że nawet chmara ptaków siedzących na drzewach poderwała się w górę.

A ja nadal byłam ślepo zakochana w tym irytującym chłopaku... A teraz dzielę z nim łazienkę. Los potrafi być przewrotny.

Odkąd tu jesteśmy, Alfiego widziałam tylko raz, i to dzisiejszej nocy. Po dwóch godzinach wiercenia się z bólu i opróżnieniu szklanki wody wyszłam spod wilgotnej od potu kołdry i zeszłam na dół. Tak cicho, jak tylko potrafiłam, uzupełniłam szklankę świeżą wodą i kostkami lodu, a później powoli, próbując nie rozlać jej zawartości, ruszyłam z powrotem do siebie... I wtedy na niewielkim korytarzu, łączącym wszystkie sypialnie, pojawił się Alfie. Na mój widok stanął jak wryty, a ręka zawisła mu na klamce drzwi do jego pokoju. Wyglądał trochę, jakby chciał szybko z powrotem się w nim schować, ale nie zdążył i został przyłapany. Zlustrował mnie wzrokiem, a ja musiałam się naprawdę mocno postarać, aby nie zrobić tego samego. Zwłaszcza że miał na sobie jedynie luźno opuszczone na biodrach dresowe spodnie.

Ostatecznie mi się to nie udało, ale on albo udawał, albo naprawdę nie zauważył mojego nieznającego wstydu wzroku. Och, ależ miałam ochotę chlusnąć sobie tą wodą prosto w twarz! W głowie mówiłam sobie: *jesteś ponad to, Zora, po prostu idź do swojego pokoju*. Dopiero po trzykrotnym powtórzeniu tych słów w myślach ruszyłam przed siebie, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Nie możesz spać? – zapytał wtedy nagle Alfie, a ja zastygłam znowu w miejscu i jak w zwolnionym tempie obróciłam głowę w jego stronę. Mogłabym przysiąc, że stawy mojego karku zaskrzypiały od tego mechanicznego ruchu. Otworzyłam usta, ale nie umiałam wydobyć z nich żadnego słowa. Jemu to jednak nie przeszkadzało, bo ciągnął dalej: – Ja też. Idę zrobić kakao. Chcesz?

Przełknęłam ślinę i pokręciłam głową. Może to moja wyobraźnia, lecz wydaje mi się, że Alfie był zawiedziony, gdy mu odmówiłam. Jego brwi lekko opadły, a zęby jakby o siebie zazgrzytały. Cóż, równie dobrze mógł to być znak, że czuł się tak samo skrępowany jak ja. Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, przeszłam szybko kilka ostatnich kroków, rozlewając po drodze trochę wody, i zamknęłam się w sypialni. Stałam chwilę przy drzwiach, nasłuchiwałam i niemal przy tym nie oddychałam. Alfie dopiero po chwili wypuścił głośno powietrze i ruszył na dół. Przysłuchiwałam się jego krokom, póki nie ucichły, a potem upiłam trochę wody i znowu położyłam się w łóżku, wlepiając wzrok w sufit. Minęło kilka minut, nim chłopak wrócił do siebie, a w całym domu zapanowała cisza.

I tyle. Pomijając to niezręczne spotkanie i to, że czasem słyszę go w łazience, nie miałam z Alfim żadnego kontaktu. Chociaż niektórzy mogliby się kłócić, że podsłuchiwanie kogoś podczas prysznica nie do końca można nazwać jakąkolwiek interakcją międzyludzką, ale patrząc na to, jak wygląda moje życie towarzyskie... Cóż, skala oceny została słusznie zaniżona.

Nie wychylam poza pokój czubka nosa, póki nie jest to konieczne. A nieczęsto muszę to robić. Mama albo Dolly przynoszą mi jedzenie i odbierają później brudne naczynia, a ja i tak nie mam siły na nic poza leżeniem. Szczytem moich możliwości jest przejście do łazienki, wzięcie prysznica i przebranie się.

Ołówek łamie się pod naciskiem moich palców, dziurawiąc kartkę i wyrывая mnie z zamyślenia. Kolejny raz kompletnie odpłynęłam, przez co całe działanie będę musiała zacząć od nowa. Zwijam kartkę w kulkę i rzucam ją do kosza przy komodzie, do którego oczywiście nie trafiam. Powoli schodzę z łóżka, a potem z trudem schylam się po papier i wrzucam go do środka.

Spoglądam na siebie w lusterku nad komodą i z zadowoleniem zauważam, że sińce przy skroni i wardze powoli zaczynają blednąć, a po ranie na ustach już prawie nie ma śladu. Jest spora szansa, że zanim wrócę do szkoły, wszystko zagoi się na tyle, bym mogła przykryć resztki śladów makijażem i dzięki temu uniknąć niewygodnych pytań...

Tak jakby ktoś miał je zadać. Może Owen, jedyna osoba, z którą rozmawiam w szkole i którą mogę nazwać kimś w rodzaju przyjaciela, pokusiłby się o ciekawski wzrok, ale z łatwością bym go zbyła i przeszła do omawiania harmonogramu wszystkich egzaminów czy czegoś w tym rodzaju.

To, że moje odbicie w lustrze już nie jest tak bardzo przerażające, przynajmniej póki dwie najgorsze rany znajdują się pod opatrunkami, dodaje mi odwagi, by znowu wyjść z pokoju. Poza tym naprawdę bardzo potrzebuję kawy. Od czterech dni czuję się jak na odwyku. Mama jest zdecydowanie przeciwko jakimkolwiek używkom, a kawę wyczuwa na kilometr, więc dotąd nie byłam w stanie przemycić jej do pokoju. Nic więc dziwnego, że mój umysł przyzwyczajony do czterech porcji kofeiny dziennie nie potrafi teraz normalnie funkcjonować i wędruje tam, gdzie nie powinien.

Nie potrzebując dodatkowej motywacji, wychodzę z pokoju i ruszam na dół. Rozglądam się dookoła, próbując zauważyć wszystkie zmiany, jakie zaszły od ostatniego razu, gdy byłam w tym domu, bo wcześniej nie miałam okazji, by to zrobić. Szybko stwierdzam, że w ciągu tych czterech lat musiał się tu odbyć generalny remont.

Dom Dolly urządzony jest dość... specyficznie i na każdym kroku widać jej barwną osobowość. Meble kuchenne mają pudroworóżowy kolor, kafelki są we wzory przypominające trochę rysunki pięcioletniego dziecka, a kremowa kanapa w przyłączonym salonie kształtem przywodzi na myśl ogromną chmurę – jakimś cudem ta mieszkanka, w połączeniu z neutralnymi kolorami podłóg i ścian, wygląda naprawdę dobrze. Może nie jest w moim stylu, ale doceniam pomysł Dolly.

Najbardziej jednak podoba mi się mała galeria obrazów wokół telewizora. Na pewno nie są to jedne z tych gotowych wydrukowanych grafik, które można dostać w markecie za kilka dolarów. Abstrakcyjne, utrzymane w pastelowych barwach dzieła, umieszczone w zdobionych złotych ramach, przypominają bardziej coś, co mogłoby się znaleźć w galerii sztuki nowoczesnej, a nie w zwykłym domu. Żadna ze mnie artystka, ale na nie mogłabym patrzeć godzinami.

Przechodzę do kuchni i chwilę przeszukuję półki. Nie znajduję nigdzie żadnej kawy. Już mam się poddać, ale otwieram jeszcze szafkę przy lodówce, a moim oczom ukazuje się istny raj.

Szafka okazuje się wnęką przeznaczoną na ukryty blat z ekspresem. Półka zawieszona nad nim wypełniona została przeróżnymi kolorowymi kapsułkami z kawą, od których niemal dostaję oczopląsu, a wybranie jednej zajmuje mi dłuższą chwilę. Ostatecznie stawiam na latte o aromacie ciasteczek i po kilku minutach majstrowania przy maszynie w kuchni zaczyna rozchodzić się cudowny zapach. Nabieram powietrza do płuc, ignorując bolesny protest żeber.

Mój wzrok pada na szklaną paterę wypełnioną przeróżnymi wypiekami, które zrobiła Dolly. Kobieta prowadzi cukiernię w centrum miasteczka i codziennie po pracy przynosi do domu słodkości... a tak właściwie małe dzieła sztuki, z których jest znana wśród mieszkańców. Zresztą nie tylko wśród nich, bo udało jej się zyskać rozgłos w internecie, przez co teraz przybywają do niej klienci z całego kraju.

Unoszę wieko i wybieram muffinkę z borówkami. Jednak nim zdążę odłożyć ją na talerzyk, w mojej głowie rozbrzmiewają słowa matki:

Wiesz, ile coś takiego może mieć cukru?

Zastygam w bezruchu z talerzem w dłoni.

Mamy tu nie ma, a jeśli mam zjeść później sałatkę z jarmużem, którą dla mnie przygotowała, zasługuję na muffinkę. I tak wybrałam tę, która wydaje się najmniej kaloryczna.

Do wolnej ręki biorę kubek z kawą i zastanawiam się chwilę, czy nie zjeść w pokoju. Ostatecznie siadam przy wyspie kuchennej, bo boję się, że ubrudzę jasny dywan lub pościel. Wgryzam się w miękkie ciasto, a później popijam je kawą. Czuję błogie szczęście, które trwa z każdym kolejnym łykiem i łykiem... tak długo, aż ktoś nie zaczyna walić w drzwi wejściowe.

Wstaję tak cicho, jak tylko potrafię. Niestety przesuwające się po płytkach metalowe krzesło wydaje głośny zgrzyt.

– Słyszę, że tam jesteś, dupku! Otwieraj! – rozbrzmiewa jakiś obcy męski głos, a ja przetykam ślinę i jestem niemal pewna, że ktokolwiek stoi po drugiej stronie, musiał to również usłyszeć.

Kimkolwiek jest ten człowiek, nie wydaje się rozgniewany, a raczej zniecierpliwiony. Nie wydaje się też intruzem, a barwa jego głosu wskazuje raczej na młodą osobę. Może to ktoś do Alfiego? Wołał jakiegoś dupka, więc to by się zgadzało... Podchodzę powoli do drzwi i ostrożnie przesuwam przysłonę wizjera. Przed drzwiami stoi chłopak trochę starszy ode mnie, a niemal cały obszar widzenia zajmuje jego bujne afro. Wyciąga rękę i znowu uderza kilka razy w drzwi, a później chwytą w dłoń telefon i coś w nim wystukuje.

– Alfie, no! Otwieraj, zaraz się spóźnimy!

Odsuwam się i myślę, co zrobić. Powinnam go wpuścić? Czy w ogóle wolno mi wpuszczać kogoś do nie swojego domu? Chłopak wydaje się niegroźny, a Alfie, zamknięty w pokoju, pewnie go nie słyszy. Mogłabym po prostu po niego pójść, ale zanim dowleklabym się na górę, minęłoby dużo czasu. No i musiałabym nawiązać z nim rozmowę... Nie, zdecydowanie wolę wpuścić tego kolesia do środka. Niech sam do niego idzie, a jeśli okaże się seryjnym mordercą... Cóż, mam nadzieję, że zabierze się najpierw za Alfiego, a ja w tym czasie zdążę uciec.

Sięgam do klamki i otwieram drzwi z rozmachem. Od razu napotykam zdezorientowane spojrzenie ciemnych, ciepłych oczu. Chłopak gapi się na mnie, jakby zobaczył ducha, i dopiero po sekundzie zauważam, że do ucha ma przyłożony telefon.

– Już nieważne, stary, właśnie pewna sztunia mi otworzyła. Będę czekał obok niej. – Alfie odpowiada mu coś głośno, ale chłopak opuszcza telefon i się rozłącza. Opiera się o framugę drzwi i krzyżuje ramiona. – Nie wiedziałem, że Alfie się teraz z kimś zabawia – mówi, a jedna brew znika pod jego afro. – To by tłumaczyło, dlaczego nie da rady się dowlec do drzwi. – Jego wzrok wędruje do opatrunku na mojej skroni. – Lubicie na ostro, co?

– Zamknij się, Cade!

Garbię się, gdy słyszę głośny krzyk zza pleców, i robię dwa kroki w tył. Patrę na podbiegającego do nas Alfiego, który mierzy groźnym spojrzeniem chłopaka, podczas gdy ten unosi ramiona w obronnym geście.

– No sorry, zluzuj już.

– My nie... – próbuję zaprzeczyć jego niedorzecznym przypuszczeniom, ale wtedy mnie olśniewa. Odwracam się do Alfiego i pytam: – To jest Cade?

– We własnej osobie – odpowiada dumnie chłopak, wpraszając się do środka. – A ty to...?

Czeka, aż mu odpowiem, a ja jedyne, co mogę zrobić, to gapić się na niego z rozchylonymi ustami.

– To Zora. – Alfie mnie wyręcza.

– Zora? Coś mi to mówi...

Cade przygląda mi się intensywnie, a ja nagle przypominam sobie, że mam na sobie tylko cienką satynową piżamę, więc splatam ręce na piersi, by trochę się zasłonić. Dobrze, że przynajmniej włożyłam stanik.

– To ja ześlizgnęłam się ze skały i wpadłam do jeziora, gdy mieliśmy po kilka lat – przypominam mu.

– O, cholera! To naprawdę ty? – Jego wzrok, przesuwający się po mnie jak skaner, zaczyna mnie coraz bardziej irytować.

Alfie cicho chrząka.

– Będę gotowy za pięć minut. Zaczekaj tutaj, dobra?

– Jasne – odpowiada Cade, a później puszcza do mnie oko. – Fajnie cię zobaczyć po tylu latach. Co się stało z twoją twarzą?

– Cade, daj jej spokój – rzuca Alfie, a ja wykorzystuję okazję, żeby się zmyć.

Podchodzę do wyspy, biorę talerz oraz kubek i ruszam w stronę schodów. Kiedy jestem już na ostatnim stopniu, słyszę wołającego mnie z dołu Alfiego. Odwracam się, żeby zobaczyć, jak za mną idzie.

– Gdzie jest Trish? – pyta, stając przede mną.

Mój wzrok wędruje na boki, jakbym chciała się upewnić, że na pewno mówi do mnie.

– W pracy.

Odwraca się i z powrotem zbiega na dół.

– Okeeej – mówię, przeciągając sylaby, po czym idę do swojego pokoju.

Udaje mi się skończyć muffinkę i kawę bez ubrudzenia czegokolwiek.

A potem, pierwszy raz od kilku dni, postanawiam zmienić piżamę na jakieś normalne ubranie. Wkładam bluzę, którą dała mi Dolly, krzywiąc się przy każdym ruchu, a na dół wybieram luźne spodnie, również od niej. Ten strój na pewno nie spodoba się mamie, która nie akceptuje noszenia czegokolwiek, co przypomina domowe ciuchy. Jej zdaniem jedynym akceptowalnym ubiorem kobiety jest sukienka lub spódnica. W tej chwili jednak wybieram wygodę, a spodnie są na tyle luźne, że nie będą zahaczać o opatrunek na nodze. Zawsze mogę się przebrać przed jej powrotem.

Ledwo udaje mi się wszystko włożyć, gdy rozlega się pukanie.

– Hej, mogę wejść? – słyszę Alfiego.

Otwieram szerzej oczy.

– Yyy – jąkam się. – Ja-jasne.

Chłopak staje w drzwiach i rozgląda się pobieżnie po moim pokoju, a dopiero później skupia wzrok na mnie. Splatam ramiona, nie wiedząc nagle, co zrobić z dłońmi.

– Chcesz coś obejrzyć? Mam Netflixa, Disney Plus i wszystko inne.

Mrugam kilka razy.

– Dzięki, nie trzeba. Też mam. – Wskazuję głową na leżącego na komodzie laptopa.

Alfie odchrząkuje.

– Miałem bardziej na myśli: czy chcesz obejrzyć coś ze mną?

Przyglądam się mu, czekając, aż powie, że to żart, ale nic takiego nie następuje.

– Muszę się uczyć – mówię, a on unosi brew.

– Przecież jeszcze nie zaczęłaś semestru.

– Tak, ale to ostatni rok, więc powinnam utrzymać dobre wyniki...

– Urywam, gdy dostrzegam, że Alfie wpatruje się we mnie ze zmrużonymi powiekami.

– Czyli stałaś się jedną z nich, co? – pyta z nutą goryczy w głosie. – Gdzie idziesz po zakończeniu szkoły? Pewnie do Yale jak mój braciszek?

– Kevin studiuje na Yale? – pytam zdumiona.

Alfie przewraca oczami.

– Tak. A po ekscytacji w twoim głosie zgaduję, że ty też się tam wybierasz.

Już mam to potwierdzić, ale w porę się powstrzymuję. Przełykam ślinę i kręcę głową.

– Wybiorę coś w Minneapolis.

– To nie ma sensu – stwierdza. – Tamtejsze uczelnie nie wymagają wysokich wyników. Przecież sam chodzę na uniwersytet stanowy.

Wzruszam ramionami i podchodzę do komody. Udaję, że czegoś szukam, mówiąc:

– Lubię się uczyć i tyle.

– Dlaczego więc nie Yale? Albo coś innego z Ligi Bluszczowej?

Zaciskam zęby, przez co moje następne słowa wybrzmiewają trochę niewyraźnie.

– Po prostu to nie dla mnie.

– Dlaczego?

Ta rozmowa robi się coraz bardziej niezręczna.

– Po prostu – powtarzam.

– Ależ trzeba cię ciągnąć za język. – Mówi na wpół poirytowany, a na wpół rozbawiony moimi marnymi unikami.

– Dlaczego cię to obchodzi? Dlaczego mnie przesłuchujesz? – Trudno mi ukryć nutę złości w głosie.

– Po prostu – odpowiada, papugując mnie. Nawet nie wiem, jak to skomentować. – A skoro już ustaliliśmy, że nie musisz się uczyć, to nie masz żadnego powodu, by nie spędzić całego dnia na leniuchowaniu.

Kręcę głową.

– Ostatnio miałam za dużo takich dni.

Jego głos staje się ponury, gdy mówi:

– Dochodziłaś do siebie po tym, jak ktoś cię skrzywdził. To zdecydowanie nie to samo.

Spuszczam wzrok.

– Cholera, przepraszam. – Klnie cicho i przeczesuje dłonią włosy. – Dolly zawsze powtarza, że mam niewyparzoną gębę i ani krzty wycucia.

Uśmiecham się, ale spojrzenie wciąż mam utkwione w środku jego klatki piersiowej.

– Zawsze mnie to zastanawiało...

– Co takiego? – dopytuje zniecierpliwiony, nim zdążę powiedzieć całe zdanie.

– Dlaczego mówisz do swojej mamy po imieniu?

Unosi brew, a ja nagle zdaję sobie sprawę, że doskonale pamiętam ten gest. Wykonywał go już wtedy, gdy był dzieckiem i zastanawiał się nad czymś, co go zaskoczyło. Robił jeszcze jedną specyficzną rzecz – przewracał oczami w tak dramatyczny sposób, że czasem obawiałam się, że gałki oczne wypadną mu z oczodołów. Ciekawe, czy to też nadal robi.

– Od zawsze tak było i nawet nie wiem, kto to zapoczątkował. Mam wrażenie, że dzięki temu nasza relacja jest bardziej przyjacielska.

Zauważam, że mówiąc to, na chwilę ucieka wzrokiem w bok.

– Ale tobie nie do końca jest z tym dobrze – stwierdzam.

Milczy chwilę, zanim odpowiada:

– Czasem żałuję, że nie mogę ich nazywać po prostu mamą i tatą. Ale teraz brzmiałoby to niezręcznie. – Zbywa własne emocje krótkim śmiechem, a mi jest go trochę szkoda. – W myślach za to nigdy nie zwracam się do nich po imieniu – przyznaje po chwili.

– Masz rację. Chwila poza tym pokojem dobrze mi robi – mówię po chwili niezręcznego milczenia.

Alfie szczerzy się w szerokim uśmiechu, a ja muszę na chwilę odwrócić wzrok od jego twarzy. Dwunastoletnia Zora, która nadal we mnie tkwi, powoduje, że niemal się rumienię.

– Masz ochotę obejrzyć coś konkretnego? – pyta, a chwilę później dodaje jeszcze: – Czekaj, nadal masz obsesję na punkcie tych nastoletnich romansideł z Hilary Duff w roli głównej?

Zaciskam na chwilę wargi, a potem mówię:

– Jasne, że nie.

I jest to oczywiście kłamstwo, bo nadal wracam do swoich ukochanych historii. Z tym że z wiekiem poszerzyłam filmowe zainteresowania o nieco poważniejsze gatunki. Jedna rzecz jednak pozostała bez zmian – filmy te muszą mieć w sobie wątek romansu. Uwielbiam romantyczne historie, a im bardziej są nieprawdopodobne, tym lepiej. W głębi duszy marzę o podobnym scenariuszu dla siebie i pewnie przez swoje wygórowane wyobrażenia nigdy nikogo sobie nie znajduję.

A ostatnie, czego chcę, to oglądać z Alfim jakiś romantyczny melodramat.

– Okej, wybierzemy coś na dole. Lubisz popcorn? – pyta, a potem parska. – Nieważne, to głupie pytanie. Każdy lubi popcorn. Przygotuję go, a ty schodź na dół.

Nim znika za drzwiami, pytam jeszcze:

– Hej, a nie miałeś iść gdzieś z Cade’em?

Wzrusza ramionami.

– Odechciało mi się – mówi i wychodzi.



3.

Najpierw myśl, potem mów

Zora

Schodzę na dół, gdzie Alfie właśnie przesypuje parujący popcorn do dwóch misek.

– Nie wystarczyłaby jedna?

– Nie ma mowy, nie umiem się dzielić. Siadaj.

Wskazuje głową na kanapę, a ja przechodzę do salonu i rozsiadam się na niej. Od razu sięgam po przełożony przez oparcie koc i się nim okrywam.

– Dzielenia wszystkiego na dwie porcje nauczyłem się przy moim bracie – ciągnie, dołączając do mnie. – Chociaż i tak zawsze znajdował sposób, żeby podkraść mi jedzenie, nawet jeśli miał pełno swojego.

Biorę od niego jedną miskę i przyglądam się mu.

– Macie ze sobą dobry kontakt?

– Nie, raczej nie – odpowiada po chwili zastanowienia. – Odkąd zaczął studia, widuję go parę razy w roku. Ale nigdy nie byliśmy zbyt blisko. – Jego wargi wykrzywiają się w lekkim uśmiechu. – Cade czasem żartuje, że to niemożliwe, żebyśmy byli braćmi, bo poza kolorem oczu niewiele nas łączy. Więcej wspólnego mam z moim drugim bratem. – Unoszę mimowolnie brew, a on, widząc moje zdezorientowanie, dodaje: – Ma prawie pięć lat i mieszka z moim tatą w Minneapolis. Uwielbiam tego dzieciaka.

– Nie wiedziałam o nim.

– Skąd miałabyś wiedzieć? Nie mieliśmy kontaktu – zauważa Alfie.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, wbijam wzrok w prażone ziarna kukurydzy, a cisza z sekundy na sekundę staje się coraz bardziej niezręczna. Wreszcie chłopak ją przerywa, a jego głos wydaje się o ton cichszy.

– Co się wtedy stało? Dlaczego cztery lata temu zamieszkałyście u nas?

Poruszam się na kanapie, bo nagle jest mi niewygodnie, i podciągam koc na ramiona.

– Nie wiesz? – rzucam bezsensownie, chcąc kupić sobie trochę czasu na ułożenie w głowie historii.

– Mam swoje domysły.

Przyglądam się mu znowu, próbując wyczytać, co może myśleć, i szybko stwierdzam, że Alfie... wie. Może nie zna szczegółów, może udałoby mi się zbić go z tropu, ale jaki sens ma karmienie go kłamstwami po wszystkim, co wydarzyło się w piątek? Biorę głębszy oddech, zanim wyznaję:

– Wtedy uderzył mamę pierwszy raz. Nigdy wcześniej tego nie robił, a przynajmniej tego nie widziałam. Mama nas spakowała i przyjechałyśmy tutaj.

Szybko zaczynam żałować swojej szczerości. Powinnam wiedzieć, że Alfie nie odpuści tak szybko tego tematu.

– Dlaczego później wróciłyście?

– Bo ja chciałam wrócić – wyrzucam, zaskakując tym samą siebie.

Czuję badawczy wzrok Alfiego na sobie.

– Dlaczego?

– Bo... był moim tatą – stwierdzam, jakby to miało tłumaczyć wszystko. Kiedy patrzę na jego pełen zrozumienia wyraz twarzy, mam wrażenie, że tak właśnie jest: że wyczytuje prawdę, która kryje się za tymi trzema słowami.

A prawda wygląda tak, że gdy byłam dzieckiem, tata był dla mnie dobry. Kupował mi wszystko, co sobie wymarzyłam, nazywał mnie swoją księżniczką i tylko czasem krzyczał, kiedy nie chciałam zrobić tego, czego ode mnie wymagano. Rodzice za to kłócili się często i głośno. Z czasem zaczęłam rozumieć straszne słowa, które padały wtedy z ust mojego taty, ale mama ciągle powtarzała, że to nic takiego. Że to ona jest nerwowa i go prowokuje.

Gdy ją uderzył, też to powtarzała, a ja zbyt łatwo w to uwierzyłam. Wyszedł z nią tego dnia z domu, wściekła na tatę, lecz później błagałam ją o powrót. Nie chciałam dłużej mieszkać u Dolly, zwłaszcza że Alfie lada moment miał wrócić z wakacji u ojca. W końcu mama się zgodziła, a ja się ucieszyłam. Miałam odzyskać rodzinę, ale... już nic nie było takie samo. Kłótnie się nasiliły, coraz częściej zaczęły dotyczyć mnie.

Tata był zły, że poszłam z mamą, a nie zostałam z nim, że nie odzywałam się do niego... Już nie byłam jego księżniczką.

Awantury, intensywniejsze niż kiedykolwiek, stały się codziennością, przez co każdego dnia bałam się, że znowu podniesie rękę na mamę.

Za późno dotarło do mnie, że mój *tatus* nie jest dobrym człowiekiem... że pewnie nigdy nim nie był.

Alfie się odzywa, a jego głos wydaje się spięty:

– Przykro mi, że twój tata jest takim dupkiem... i że twoja mama pozwoliła, żeby to trwało.

– To nie jej wina – protestuję od razu. – To przeze mnie wróciliśmy do domu. Ona... naprawdę wiele z nim przeszła, a ja zmusiłam ją do powrotu, po którym było dużo gorzej i... – Urywam, by powstrzymać się przed zdradzeniem zbyt wielu szczegółów.

To przecież nie jego sprawa, nie jego problemy. Znowu zapada niezręczna cisza, a ja mam ochotę na niego spojrzeć, dowiedzieć się, co myśli, gdy tak siedzi obok i milczy. Jednak nie umiem się do tego zmusić.

– To... – zaczyna, szukając słów – jest tak bardzo pokręcone. Nie mam pojęcia, co dokładnie przeszłyście, ale wiem jedno: nie powinnaś się obwiniać, Zo.

Na zdrobnienie, którego tak dawno nie słyszałam, unoszę na niego wzrok.

– Czy po tylu latach mógłbyś wreszcie przestać mnie tak nazywać? Szczerzy zęby w uśmiechu i kręci głową.

– Mam inny pomysł. Tak długo, jak będziesz tu mieszkać, będę mówił do ciebie Zo. – Jego uśmiech wyparowuje, a ja patrzę na niego, zdezorientowana nagłą zmianą. Dopiero po chwili ciska przez zęby: – Jestem wściekły na Trish.

Marszczę brwi.

– Dlaczego?

– Mam wiele powodów. – Unosi dłoń i zaczyna wyliczać na palcach: – Nie chciała zabrać cię do szpitala. Cały czas udaje, że jest tobą zmartwiona, a jednocześnie nie robi nic, żeby naprawdę ci pomóc. – Jego twarz wykrzywia obrzydzenie.

Przełykam twardą gulę, która nagle uformowała się w moim gardle, a Alfie kontynuuje:

– Jakby tak naprawdę dbała tylko o pozory. A do tego wszystkiego pozwoliła ci uwierzyć, że jesteś odpowiedzialna za to, co was spotkało. To jest dla mnie chyba najbardziej nie do przyjęcia...

Chcę coś wtrącić, ale mi nie pozwala, ciągnąc swoją wyliczankę. Zaczyna brakować mu palców, więc opuszcza dłoń.

– Wiesz, że gdy Dolly zasugerowała jej, że powinnaś porozmawiać z psychologiem, ona się na to nie zgodziła? Nawet nie podała żadnego sensownego powodu.

Skopuję z siebie koc, nie przejmując się już bólem w żebrach. Mam ochotę stąd zniknąć i teraz tylko to się dla mnie liczy. Alfie jednak zdaje się tego nie zauważać.

– Miała idealną okazję, żeby zebrać dowody na twojego ojca i nawet posłać go za kraty, a zamiast tego kazała zająć się tobą po cichu i zabronila komukolwiek mówić o tej sytuacji.

Przysmykam powieki i wypuszczam powietrze, zbierając się w sobie, zanim wygłoszę własną przemowę.

– Szeryf Wright to jeden z najlepszych kolegów mojego ojca, pomógł mu zatuszować niejedną rzecz. – Patrzę na kompletnie zdezorientowanego Alfiego i nagle coś sobie uświadamiam. – Ty nie wiesz, kim on jest, prawda? Nie masz pojęcia, kim jest mój ojciec.

Ledwo zauważalnie kręci głową. Widzę, jak jego umysł pracuje w skupieniu nad ułożeniem ostatniej części tej chorej układanki, z której składa się moje życie. Z każdym moim następnym słowem jego oczy otwierają się szerzej.

– Mój ojciec to Matthew May, burmistrz Pine Lakes, jeden z głównych sponsorów naszego szpitala oraz komendy policji. Kojarzysz ostatnią paradę nowych wozów policyjnych? On je kupił. Każdy z nich, prosto z salonu.

Między nami zapada cisza, zakłócana jedynie moim przyspieszonym oddechem.

– Kurwa – kwituje Alfie, a później, podobnie jak ja, opada na oparcie kanapy. – Jakim cudem to mi umknęło?

Wzruszam ramionami i wrzucam kilka ziaren kukurydzy do ust. Po chwili Alfie szturcha mnie łokciem.

– Kimkolwiek by był, nie zmusi cię do powrotu do domu. A co do twojej matki... Myślę, że nie patrzysz na nią obiektywnie. – Kątem oka dostrzegam, jak jego szczeka się zaciska. Ścisząc głos, dodaje: – Słyszałem, co mówiła tego wieczoru, gdy cię tu przywiozła. Słuchałem nieraz, jak się do ciebie zwraca... Uważam, że nie stawia twojego dobra na pierwszym miejscu, Zo, ale równocześnie dobrze jej idzie wmawianie ci, że tak jest.

Już otwieram usta, by temu zaprzeczyć, lecz on, jak na złość, znowu mnie ubiega.

– Nie musisz jej bronić, bo i tak nie powiesz nic, co sprawiłoby, że zmienię zdanie na jej temat. Sama może to zrobić, zachowując się w porządku.

Przyglądam mu się chwilę, chcąc ciągnąć dyskusję i bronić mamę, ale nagle tracę do tego cały zapał i tylko kiwam z ociąganiem głową. Milkniemy oboje, ale tym razem cisza nie jest niezręczna. Wędruję wzrokiem po swoich ulubionych obrazach, a potem przenoszę go niżej, na półkę pod telewizorem, gdzie znajduje się kilka ramek z rodzinnymi zdjęciami. Dostrzegam tam jedno przedstawiające Alfiego z medalem w dłoni i uśmiecham się pod nosem.

– Nadal grasz w hokeja?

– Jasne, jestem w reprezentacji uczelni. – Drapie się z tyłu głowy. – Przynajmniej na razie, bo jeśli nie poprawię ocen z analizy matematycznej, mogę się pożegnać z drużyną. Ledwo zdałem poprzedni rok.

Uśmiecham się pod nosem.

– Nie wiem, czy pamiętasz, ale uwielbiam matkę – mówię, a on patrzy na mnie z niesmakiem. Śmiało mogłabym się za to na niego obrazić, lecz mimo to dodaję: – Myślę, że poradziłabym sobie z materiałem ze studiów.

– I co? Urośniesz pół metra, zetniesz włosy i zdasz egzaminy za mnie? Parskam.

– Mogę ci dawać lekcje. Tak w ramach podziękowania za to, że możemy u was mieszkać.

– Nie musisz mi tego wynagradzać... – Urywa, a jego twarz wykrzywia grymas. – Ale w sumie przydałaby mi się pomoc. – Obraca się w moją stronę. – Jesteś pewna, że poradzisz sobie z tym materiałem? Studiuję ekonomię, więc poziom mamy dość zaawansowany...

– Nie martw się o to – odpowiadam z niewzruszoną pewnością, mimo że wiem, że będę musiała się trochę nauczyć, by uzupełnić braki... Nagle przekrzywiam głowę. Coś mi się nie zgadza. – Dlaczego wybrałaś taki kierunek, skoro nie lubisz matematyki?

Wzrusza ramionami.

– Nie miałem innego pomysłu, więc poszedłem tam, gdzie Cade. Ale tak naprawdę obaj studiujemy, by móc grać. Większość chłopaków z drużyny planuje przejść do profesjonalnych zespołów zaraz po studiach.

– Ty też?

Alfie otwiera usta, a potem je zamyka i macha ręką.

– Dość o mnie. Obejrzymy coś w końcu. – Sięga po pilota. – Na co masz ochotę?

Przyglądam mu się jakiś czas, zastanawiając się, czy powinnam drażnić ten temat.

– Ty wybierz – mówię ostatecznie, bo chyba oboje mamy już dość poważnych rozmów. – Pójdę po coś do picia. Co chcesz?

– To samo, co weźmiesz dla siebie.

Odkładam miskę i podnoszę się, zapominając na chwilę o tym, że moje ciało nie jest do końca sprawne. Nie udaje mi się powstrzymać cichego syku bólu, przez który Alfie wstaje i wyciąga do mnie rękę. Na jego twarzy maluje się niepokój.

– Siadaj, przyniosę.

Kręcę głową.

– To nic takiego. Ruch dobrze mi robi.

Idę do kuchni, czując jeszcze przez chwilę na sobie jego wzrok, i wyciągam z lodówki dwie puszkę coli. W oczy rzuca mi się położony na środkowej półce talerzyk z kanapką wypakowaną sałatą oraz różową karteczką samoprzylepną z boku. Czytam mimochodem notatkę, a z każdym kolejnym słowem mocniej ściskam puszkę w dłoniach.

„Zjedz coś i zajrzyj do Zory, bo Trish ani mnie nie będzie do wieczora. Zanieś jej, proszę, coś z moich wypieków, bo sama pewnie po nic nie zejdzie. Może coś razem porobicie? Obejrzyjcie film? Kocham, mama”.

A więc dlatego to robi. To Dolly kazała mu spędzić ze mną czas, a Alfie został ze mną zamiast wyjść z kolegą... z litości.

– Wiesz, jednak nie czuję się najlepiej – mówię i odchrząkuję cicho, by pozbyć się nagłej chrypy. – Pójdę się położyć.

– Tak nagle? – pyta Alfie, podchodząc do mnie w kilku szybkich krokach. – Co się stało? Wezwać doktora?

Odsuwam się gwałtownie, żeby stworzyć między nami komfortowy dystans, na co on staje w miejscu. Wbijam wzrok w stopy.

– Po prostu wołałabym się położyć.

– Okej – odpowiada przeciągle, wyraźnie zdezorientowany. – Jeśli czegoś byś potrzebowała, to daj znać, dobrze?

Kiwam głową, a potem jak w transie wymijam go i ruszam do swojego pokoju. Zakopuję się w pościeli z zamiarem przespania reszty dnia.

Ciągle jednak nie mogę pozbyć się uczucia upokorzenia, którego gorzki smak niemal wyczuwam na języku.

Jestem naiwna. I głupia.

Alfie

– Kurwa – ciskam przez zęby, odstawiając talerz z kanapką na blat, a w drugiej ręce trzymając kartkę od mamy.

Nagle dziwne zachowanie Zo sprzed kilku minut nabiera sensu.

Kiedy tylko wstałem i zobaczyłem SMS-a od mamy o identycznej treści co notatka na kartce, zignorowałem go. Nie chciałem zaglądać do dziewczyny, a tym bardziej proponować jej wspólnego spędzania czasu. Nie dlatego, że nie obchodzi mnie to, jak się czuje. Po prostu... bałem się. Skąd miałem wiedzieć, czy Zo chce mnie widzieć? Całymi dniami nie wychodziła z pokoju, więc założyłem, że woli unikać ludzi, a w szczególności facetów. Nie chciałem napastować jej swoją obecnością.

Jednak gdy zobaczyłem ją na dole z Cade'em, który zdawał się wręcz pożerać ją wzrokiem... coś się we mnie przestawiło. Poczulem nagłą potrzebę bycia przy niej i pozbycia się mojego przyjaciela.

W momencie gdy dostrzegłem, że Zo była w trakcie śniadania, które w końcu odważyła się zjeść poza swoim pokojem, stwierdziłem, że może wspólne spędzenie czasu nie będzie takim złym pomysłem. Na początku było trochę niezręcznie, ale po kilku minutach to uczucie minęło. Myślę, że Zo naprawdę tego potrzebowała i nawet trochę się przede mną otworzyła... A po tym wszystkim przeczytała tę głupią wiadomość.

Mnę papier w dłoni. Dłuższą chwilę zajmuje mi wymyślenie, co powinienem zrobić, by jakoś naprawić tę sytuację. Odnajduję długopis i rozprostowuję kartkę. Na pustej stronie piszę koślawo:

„Naprawdę chciałem spędzić z tobą czas”.

Składałem kartkę na pół i idę na piętro. Zatrzymuję się pod jej drzwiami, zza których nie dochodzi żaden dźwięk. I jak tchórz, zamiast zapukać i z nią pogadać, wsuwam notatkę pod jej drzwi, a potem idę do siebie.

Chwilę się zastanawiam, czy zdążyłbym jeszcze chociaż na połowę treningu, ale szybko porzucam tę myśl. Trener i tak będzie wściekły, że spóźniłem się na pierwszy trening w sezonie, a ja nie skupię się na grze. Poza tym naprawdę nie chcę zostawiać Zo samej.

Ostatecznie siadam niechętnie przy biurku zavalonym książkami oraz ubraniami i trochę je porządkuję, a potem otwieram laptopa. Sprawdzam swój harmonogram zajęć i treningów w nadchodzącym semestrze i próbuję się w tym rozeznaczyć. Mam ochotę krzyczeć. Niemal każdy dzień jest wypełniony po brzegi, wliczając w to weekendy, bo wtedy zazwyczaj odbywają się mecze.

Cóż, należy mi się jeszcze ten jeden dzień wolnego.

Po jakiejś godzinie męczenia się z tym, aby między wszystkie zajęcia wcisnąć chociaż kilka dni, w które udałoby mi się wpaść do ojca i pobyć z Brunem, poddaję się.

Po co mi to wszystko? Perspektywa niemal codziennych treningów na siłowni, a do tego kilka treningów hokeja w tygodniu przyprawia mnie o mdłości, podczas gdy Cade na samą myśl o rozpoczynającym się sezonie nie może usiedzieć w miejscu. Dlaczego nie czuję tego samego?

Kiedy Zo zapytała, czy planuję profesjonalną karierę, nie miałem pojęcia, co jej odpowiedzieć.

Od dzieciaka chciałem dostać się na uniwersytet stanowy w Minneapolis, który ma jedną z najlepszych drużyn w kraju, a następnie do głównego składu. Zamierzałem grać najlepiej, jak potrafię, aby zaproponowano mi kontrakt. Problem w tym, że w międzyczasie okazało się, że wcale nie jestem tak dobry, jak myślałem. W liceum byłem najlepszym napastnikiem i zostawiłem Cade'a daleko za sobą, ale na studiach wyszło na jaw, że tak naprawdę jestem przeciętny wśród innych. A mój przyjaciel, dzięki ciężkiej pracy, do której ja nie mogłem się zmusić, już dawno mnie prześcignął i koniec końców został kapitanem.

Pewnie wyszedłbym na prowadzenie, gdyby mi zależało. Tyle że właśnie... nie zależy. Kiedy grałem w reprezentacji liceum, mogłem spędzać na lodzie całe dnie, świetnie się przy tym bawiąc. Bycie częścią uniwersyteckiej ligi to jednak coś zupełnie innego. Presja utrzymania dobrych indywidualnych wyników, odnoszenia zwycięstw, ciągła rywalizacja z przeciwnikami, a nawet między członkami drużyny, intensywne treningi – każda z tych rzeczy wysysa ze mnie radość z gry. Nadal uwielbiam hokej, ale na treningach nie daję z siebie wszystkiego. Nie zależy mi na dobrych wynikach, wolę cieszyć się czasem na lodzie.

I przez to jestem w dupie. Kariera profesjonalnego gracza od zawsze była moim jedynym planem, a alternatywą, która mi pozostaje, jest... wzięcie studiów ekonomicznych na poważnie. A to jest jeszcze gorsza

opcja. Nie wspominając o tym, że Cade i trener postawiliby mnie na bramce bez ochraniaczy i pozwolili wszystkim strzelać we mnie z całej siły, gdyby tylko się dowiedzieli, że ot tak odechciało mi się grać.

Splatam ramiona na blacie biurka, a później kładę na nich czoło. Pograżam się bez reszty w myślach o tym, w jak beznadziejnym punkcie znalazło się moje życie, aż słyszę ciche pukanie. Unoszę głowę i mrugam kilka razy, by przegonić mroczki. Kiedy dźwięk się nasila, podchodzę do drzwi i je otwieram, stając tak, żeby zasłonić widok na mój bałagan. Przyglądam się Zo, podczas gdy moje serce bije szybciej niż zazwyczaj. Dziewczyna unosi w dwóch palcach pomietaną kartkę.

– To miłe – mówi. – I nawet jeśli chciałbyś spędzić ze mną czas wyłączenie na polecenie mamy, też byłoby mi miło... na swój sposób – dodaje, ale po tym, jak się przy tym krzywi, trudno uwierzyć w jej słowa. – Wiedz jednak, że nie chcę litości. Nie potrzebuję też niańki. Czuję się dobrze, a samotność mi nie przeszkadza.

Podaje mi kartkę i obraca się na pięcie, by znowu uciec.

– Zaczekaj – mówię i łapię ją za nadgarstek.

Zo wyszarpuje go od razu, ale zatrzymuje się i odwraca znowu do mnie.

– Nie zrobiłem tego z litości.

Krzyżuje ramiona na piersi i zwręży powieki.

– Więc mimo że ignorowałeś mnie do tej pory, to postanowiłeś spędzić ze mną czas akurat wtedy, gdy twoja mama kazała ci się mną zająć?

Wychodzę na korytarz i zamykam za sobą drzwi.

– Źle sobie to tłumaczysz.

Potrząsa głową z niedowierzaniem wymalowanym na twarzy.

– Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jak brzmią twoje słowa?

– Gadaliśmy dziś w nocy – zauważam, ignorując jej przytyk.

– Gdy tylko usłyszałeś, że idę, chciałeś uciec z powrotem do pokoju.

Widziałam to.

Zaciskam zęby. Ma rację.

– Myślałem, że nie chcesz mojego towarzystwa – wyznaję, wbijając wzrok w jej nadgarstek, który chwilę temu opłatały moje palce. Staram się nie myśleć o tym, jak wręcz nienaturalnie delikatna wydawała się jej skóra. – Że nie chcesz, żeby ktoś obcy zawracał ci głowę...

Jej twarz wykrzywia się od emocji, których nie potrafię nazwać, a oczy stają się szkliste.

– Nie jesteś dla mnie obcy. – Niemal szepcze, a ja wstrzymuję oddech. – Byliśmy kiedyś przyjaciółmi, pamiętasz? A później ty i Cade stwierdziliście, że dobrym pomysłem będzie urządzenie sobie ze mnie swojego centrum żartów.

Przełykam ślinę, czując zażenowanie sobą z dzieciństwa. Zawsze, kiedy wspominam przeszłość, staram się omijać tamten etap życia. Byłem jednym z tych dzieciaków, które zrobiłyby wszystko, by się wyróżnić, zabłysnąć... Byłem po prostu głupi.

– Byłem głupi i... – próbuję wypowiedzieć na głos swoje myśli, ale Zo znowu wchodzi mi w słowo.

– To i tak nie było najgorsze. Kiedy później zacząłeś traktować mnie jak powietrze, jakbym dla ciebie nie istniała... – Przełyka głośno ślinę. – Chyba to zabolalo mnie najbardziej. Nawet się ze mną nie witałeś.

– Nie? – pytam, a mój głos brzmi piskliwie.

– Czasami nawet nie zauważałeś, że jestem w tym samym pokoju. Albo świadomie mnie ignorowałeś.

Drapię się z tyłu głowy, nie wiedząc, co powiedzieć.

Mimo że chciałem usunąć to z pamięci, doskonale potrafię przywołać moment, w którym zacząłem źle traktować Zo. Miałem jakieś jedenaście lat, a któryś z moich kolegów zasugerował, że Zo i ja jesteśmy parą. Zainicjował tym lawinę bezlitosnych żartów, a że w tamtym okresie naszego rozwoju jakiegokolwiek kontakt z dziewczynami wydawał się obciachem... musiałem to ukrócić. Ale to nie było łatwe. Niemal za każdym razem, gdy wpadałem z kumplami do domu, przebywała w nim Zo, a jej mama zawsze kazała jej się z nami bawić. Wszyscy, a zwłaszcza Cade, zaczęli się z niej nabijać, a ja nic z tym nie zrobiłem. Co gorsza, sam do nich dołączyłem, by tylko zaprzeczyć jakimś głupim plotkom.

Dla nas były to tylko głupie żarty, ale dla niej... Dla niej to naprawdę mógł być koszmar i chyba najbardziej jest mi wstyd przez to, że dopiero teraz to do mnie dotarło.

– Byłem dupkiem – mówię chyba bardziej do siebie niż do niej, a głośniejsze dodaję: – Nie cofnę czasu, ale wiem, że żałuję każdego słowa. Przepraszam.

Widzę po jej skołowanej minie i przedłużającym się milczeniu, że nie tego się spodziewała.

– Dzięki – mówi i zadziera brodę. – A później?

Wstrzymuję oddech.

– Co masz na myśli?

– Ten czas, kiedy po kilku latach nagle skończyłeś ze mnie żartować, a zacząłeś kompletnie ignorować moje istnienie. Dlaczego? Co się zmieniło?

Mam ochotę wbiec z powrotem do pokoju. Jej wyczekujące, skupione na mojej twarzy spojrzenie przyszpila mnie jednak w miejscu i zmusza do gadania.

– No... – Zwlekam, żeby zaraz wyrzucić z siebie wszystko na jednym wydechu: – Wydawało mi się, że się we mnie zabujałaś, i wolałem od razu dać ci do zrozumienia, że nie jestem zainteresowany.

Otwiera usta, robiąc minę, jakbym ją spoliczkował... a później jakby to ona miała ochotę spoliczkować mnie.

– Ty... Ty... – próbuje znaleźć odpowiednie słowa.

– Musisz przyznać, że byłaś upierdliwa. Wszędzie za mną chodziłaś, mimo tego, jak źle cię traktowałem. W dodatku wyglądałaś dość... dziwnie, ubierając się jak kobieta w średnim wieku. – Jej twarz robi się czerwona, a usta zaciskają się w wąską linię. Zo jest wściekła. Czemu nie mogę się zamknąć? – Kluczowe słowo to „byłaś”! – dodaje szybko, żeby jakoś załagodzić sytuację. – Teraz zdecydowanie nie jesteś. Teraz, jak to Cade stwierdził, jesteś sztunią, a on mało komu nadaje to miano.

Zapada cisza, podczas której wstrzymuję oddech.

– Czy ty naprawdę musisz wyrzucać z siebie słowa z taką prędkością? – odzywa się Zo. – Rada ode mnie: najpierw myśl, potem mów.

Zaplatam ramiona na piersi.

– Jesteś strasznie przemądrzała – stwierdzam.

– Och, czyli wracamy do przewisk.

Robi krok w moją stronę, przez co mam ochotę się cofnąć. Jednak wtedy do moich nozdrzy dociera zapach, który napotykam w domu już od jakiegoś czasu. Biorę głęboki wdech, by lepiej go poczuć. Cynamon i coś cytrusowego...

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz?! – pyta Zo. Zdaję sobie sprawę, że w momencie, w którym ja weszylem w powietrze, ona coś mówiła. Kręci głową i odrzuca włosy do tyłu, a ten cudowny zapach staje się jeszcze intensywniejszy. – Jesteś nieznośny!

Przenoszę wzrok na jej oczy. Czy one zawsze miały kolor czekolady?

– Naprawdę żałuję tego, jak cię traktowałem. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy.

Mierzy mnie chwilę wzrokiem, aż wreszcie opuszcza ramiona, które miała splecione przez większość naszej rozmowy.

– Dzięki – mówi. Po chwili na jej twarzy pojawia się lekki uśmiech, który stara się ukryć. – Zresztą masz rację. Naprawdę się w tobie podkochiwałam i dlatego chciałam być zawsze obok ciebie. Na szczęście oba te uczucia należą już do przeszłości – dodaje, po czym się odsuwa i idzie do pokoju, zabierając ze sobą swój zapach.

Czuję nagły uścisk w klatce, a moje serce znowu zaczyna szybciej bić. Nie mogę się ruszyć.

Na szczęście oba te uczucia należą już do przeszłości.

Kiedy mój umysł przestaje w kółko odtwarzać wypowiedziane przez nią ostatnie zdanie, potrząsam głową i wracam do siebie.

Spis treści

1. Dziecko potrzebuje ojca	5
2. Dwunastoletnia Zora	20
3. Najpierw myśl, potem mów	35
4. Prosto z baśni	47
5. Nie ma mowy, że jej o tym powiem	59
6. Proszę, odbierz	72
7. Tylko z tobą	88
8. Werdykt	102
9. Powinnam wiedzieć	119
10. Alfie Cooper nie jest dla mnie	131
11. Kiedyś to zrozumiesz	145
12. Mogłaś to zakończyć	162
13. Samotność	175
14. Co oni jej zrobili?	191
15. Tak jak teraz	204
16. Najlepsze dopiero przed tobą	218
17. Nigdy nie zaznała spokoju	234
18. Pragnę tego, Zo	246
19. Zrobię wszystko	260
20. W stanie najwyższej gotowości	269
21. Nie mówisz mi całej prawdy	283
22. Wyleczą ją z niego	301
23. Wytrzymałam	318

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

**„Łatwiej nienawidzić kogoś, kto jest w pełni zły, niż kogoś, kto traktuje nas źle,
ale czasem obdarowuje strzępkami dobra”**

Zora właściwie nigdy nie miała domu. To było tylko miejsce, w którym mieszkała, ale nie czuła się bezpiecznie. Jediną nadzieją na lepszą przyszłość były studia, które miały jej pomóc wyrwać się z dotychczasowego życia. Jednak tuż przed rozpoczęciem ostatniej klasy liceum perfekcyjny plan dziewczyny rozsypał się jak domek z kart. Skrzywdzona przez kogoś, kto powinien ją chronić, musiała wraz z matką uciekać z domu. Zamieszkały u dawnej przyjaciółki matki i jej syna Alfiego – hokeisty, łobuza i miłości Zory z dziecięcych lat.

Dziewczyna stara się szybko opracować nowy plan, lecz w domu Cooperów stare rany na nowo się otwierają, a świeże nie chcą się zabiżnić. Zora powoli zdaje sobie sprawę, że osoba, którą chciała chronić za wszelką cenę, jest tą, która krzywdzi ją najbardziej.

Alfie jednak zrobi wszystko, by poczuła się jak w domu. Zora musi jedynie zrozumieć, że rodzina to nie tylko więzy krwi. Pytanie, czy jej się to uda...

Patroni medialni:



beyA 16+
beyA.pl

ebookpoint



cena: 49,90 zł